

5

FOLHA POLONÊSA

PRZEGŁAD POLSKI

REVISTA
POLONÊSA



Ano IV Junho 1963

30



A SURPREENDENTE IBM ELÉTRICA

A Nova IBM Elétrica, resultado de mais de 30 anos de pesquisa de Engenharia e experiência de Fabricação, surpreende de imediato pela beleza de suas linhas. O mais importante, porém, é o seu extraordinário índice de funcionalidade, sua capacidade de produção... e conseqüente redução de despesas. Veja que características próprias: dispositivo Exclusivo de Cópias Múltiplas que permite a obtenção de 15 a 20 cópias de uma só vez... teclado ajustável, com toque Personalizado... o carro de deslizamento Silencioso de 13"... a tabulação rápida e suave com ação Desaceleradora... a nova ação da Tampa... e 23 outras realizações técnicas que resultam numa datilografia sem esforço, o que significa maior produção para você, com a Nova IBM Elétrica.

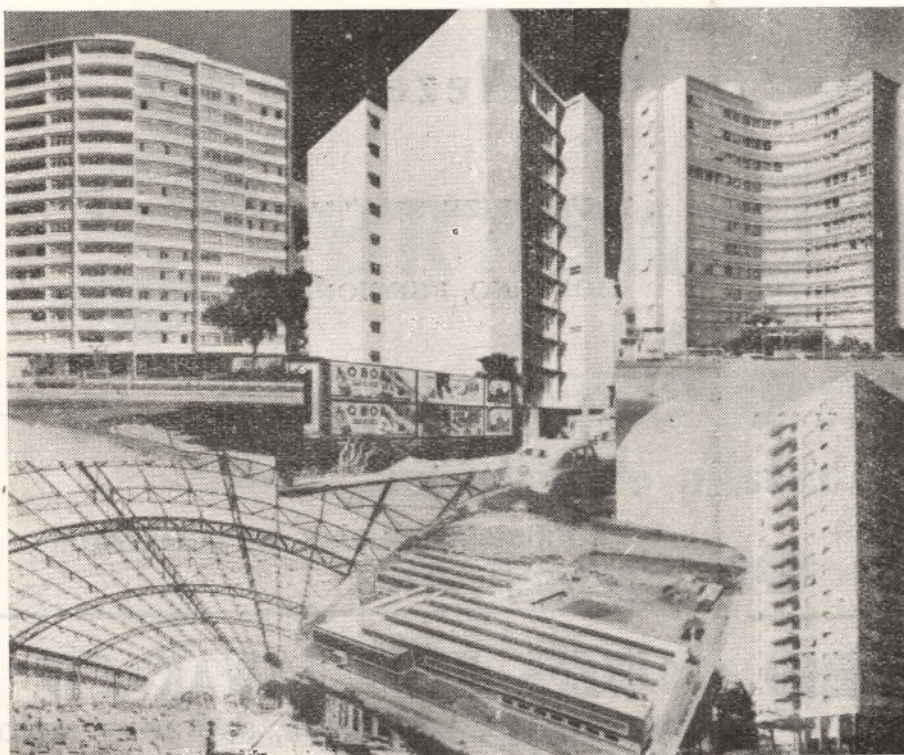


IBM DO BRASIL LTDA. • DIVISÃO DE MÁQUINAS DE ESCRIVER ELÉTRICAS

RIO DE JANEIRO: Av. Rio Branco, 80 - 6.º and. - Tel. 23-8566

SÃO PAULO: Avenida São Luiz, 86 - Telefone 32-5167

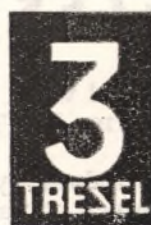
FILIAIS: Belém - Belo Horizonte - Brasília - Curitiba - Fortaleza - Niterói - Porto Alegre - Recife - Salvador - Santos



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO

Construtora e Imobiliária Tresel S. A.



AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO

"INTRA FERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-14-76

93-26-00

São Paulo



INDÚSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

PELES METZGER

Istniejąca od wielu lat i ciesząca się zaufaniem klienteli firma FUTER DAMSKICH.

Na składzie duży wybór futer, jak: **nurki, oceloty** i wiele innych, w najlepszych gatunkach.

Ceny bardzo umiarkowane.

Osobny dział napraw i przeróbek wszelkiego rodzaju futer

São Paulo, — Praça da República, 242 — 3 piętro.
Telefon: 36-7000.



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJA

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

Dr. Arnaldo Serroni

ADVOGADO

Causas cíveis, comerciais, criminais,
trabalhistas e fiscais, inventários, despejos etc.

Praça da Sé, 96 — 5.º Salas
84, 89 e 90 — Tel.: 32-2461

SÃO PAULO



BRASAMPA S/A

Assistência técnica para
indústria do plástico

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

“COEXCO”

COEXCO incorpora novos e confortáveis domos residenciais.
Em domos COEXCO acomodação moradores, ich acabamento i este-
tyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO “COEXCO”

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
C a m b u c i

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêco telegráfico
"BRASTRAF"

Enderêco para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

Fones: 63-3100
63-3109

SÃO PAULO

KSIEGARNIA "VERITAS"

12, praed Mews

London W. 2. - Anglia

Dostarcza szybko i sprawnie książki polskie
emigracyjne i krajowe oraz książki angielskie.

Wpłaty w gotówce, w przekazach pocztowych i w czekach
prywatnych.

JEDNODNIÓWKA

California News

Niezależne pismo miesięczne. Ciekawe artykuły i wiadomości
ze Stanów Zjednoczonych, głównie z Kalifornii i Arizony.

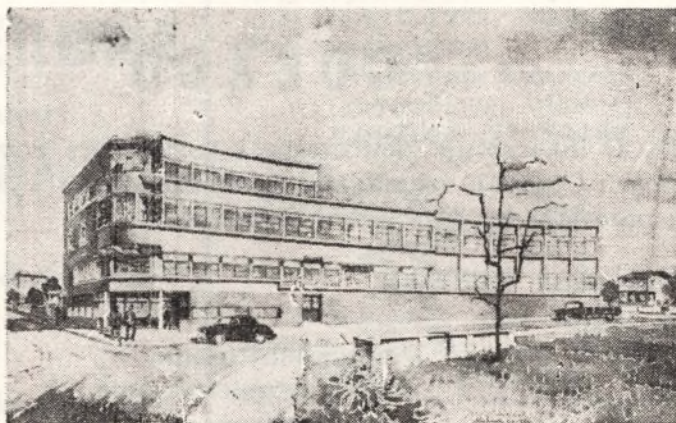
Prenumerując "Jednodniówkę" nie płacisz w do-
larach. Wystarczy, że przysyłasz używane znaczki
pocztowe z Południowej i Centralnej Ameryki.

Zamówienia należy przysyłać pod adresem:

B. A. Zaremba, 6481 E. Florence ave BELL GARDENS,
Cal. U. S. A.

Contitec

CIA. CONTINENTAL TÉCNICA



Rury stalowe bez szwu, ciągnione na zimno
4,0 do 50,0 m/m średnicy i 0,5 do 2,75 m/m
grubości ściany.

Rury bez szwu miedziane, mosiężne i aluminiowe.

Praça Sta. Helena, 26 - Cx. Postal, 8451 - Fone: 63-6054

End. Telegráfico "CONTITEC" — SÃO PAULO

Indústria Metalúrgica STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

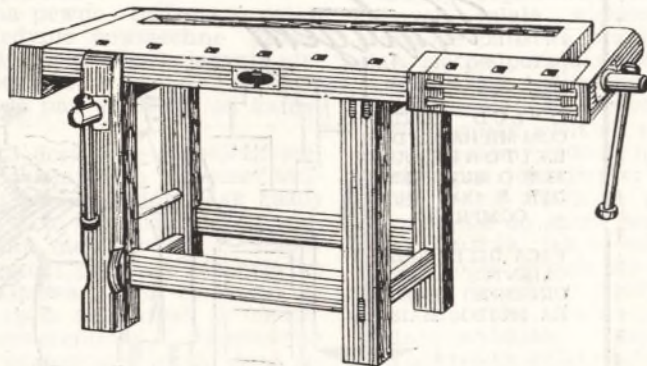
Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p.
Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

SPRZEDAJE i PRZYJMUJE

W KOMIS

KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga, 140

s. 133 — Cx. Postal, 6335

Tel.: 37-5741

SÃO PAULO

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

SPIG

**Sociedade Paulista
de Instalações Gerais Ltda.**

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: "SPIGERAL"

São Paulo

RODOVIÁRIA
EXPRESSO

LEÃO LTDA.



TRANSPORTES RODOVIÁRIOS PARA:

**São Paulo
Salvador
Recife**

Av. Guilherme Cotching, 776

Fone: 93-7910 — SÃO PAULO.

KULTURA

Największy na emigracji miesięcznik literacko-kulturalny.

Prenumerata roczna — 9 dol.

Zamówienia przyjmuje:

SEWERYN A. HARTMAN

Cx. Postal 6335 — São Paulo

Wszystkie nowości książkowe Kultury.

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMÉRICA
LATINA

FUNDADO EM 1920

**BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO**

Circulação

E O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANENSE!



Penetração

E O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES, QUE
TÊM O QUE VENDER
E COM QUE COMPRAR.

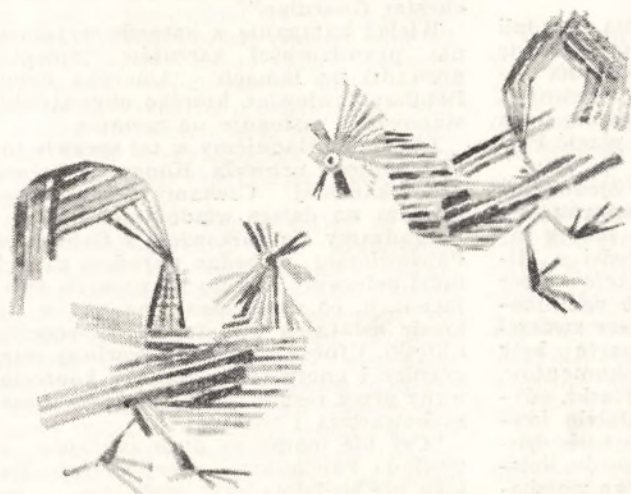
FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDERA
MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANÁ

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A. Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: — Rua Barão de Itapetininga, 140 conj. 133 - C. Postal 4530 - Fone: 37-57-41 - S. Paulo - Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 800,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 500,00.

Para o exterior: US \$ 3,00. Número avulso Cr\$ 70,00.

Composto e impresso nas oficinas do jornal "LUD" — Al Cabral, 846 — Curitiba — Paraná.

POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ

W MROKU DZISIEJSZEJ POLITYKI

Im dłużej żyję tym bardziej wiek XIX wydaje mi się wiekiem złotym, zwłaszcza jego schyłek. Nie słyszało się wówczas tak często o łamaniu swobód obywatelskich, sądy strzegły sprawiedliwości, pieniądź był czymś co posiadało cechy trwałości, przyszłość nie zaciemniona widmem apokaliptycznych wojen, a nuda i pokój pozwalały światu na porastanie tęczą. Zdrowy rozsądek tryumfował w rzeczach codziennych i w sferze uczuć i doznań wyższego rzędu.

Jakże bardzo oddaliliśmy się od owych idyllicznych czasów! Gdzie podziały się beztroskie nastroje i sny? Światem raz po raz wstrząsają konwulsje, totalna zagłada zagraża cywilizacji, przerażonym naszym oczom ukazuje się obraz spopielonej przez szaleństwo atomowe Ziemi. Pesymiści powiadają, że tak być musi, że zgodnie z niezłomnymi prawami biologii gatunki rodzą się, osiągają pełnię rozwoju, starzeją się i giną, że nieuchronnym biegiem wypadków każda cywilizacja dąży do samounicestwienia. Musi więc również zginąć człowiek, zbyt się już bowiem rozmnożył i rozpanoszył na tej nieszczęsnej planecie.

Będzie to na pewno truizmem jeżeli powiem, że jedynie powszechne zrozumienie niebezpieczeństwa, że jedynie nieustanne zabieganie o zgodę pomiędzy narodami może nas uratować od katastrofy.

Rozumieli to doskonale niektórzy mężowie stanu powołując po pierwszej wojnie światowej Ligę Narodów. Jak każdy twór nowy była to organizacja pod wieloma względami niedoskonała i słaba. Posiadając szeroki program nie była go w stanie zrealizować, gdyż ci, którzy ją powołali do życia zbyt dbali o nieuszczerpnięcie suwerenności zrzeszonych państw. Za wzniosłością celów krył się brak kompetencji i siły. To też Liga Narodów nie była w stanie zapobiec katastrofom nowej wojny światowej. Upadła zmieciona z powierzchni ziemi przez wichry dziejowej, wyszydzona przez jednych, wyśmiana przez drugich. Pozostało po niej jedynie szeregi przeważnie durnych i wspaniałych Pałac Narodów w Ge-

nowie. Mimo to Liga Narodów w historii ludzkości pozostawiła trwały ślad, stanowiła bowiem pierwszą próbę zwalczania wilczego prawa siły między narodami, pierwszą próbę odnalezienia drogi do pokoju.

Ustanowiona po drugiej wojnie światowej Organizacja Narodów Zjednoczonych ma znacznie mocniejszą pozycję, głównie dlatego, że zjednoczone narody zrzekły się na jej dobro części swych suwerennych praw. Udało się jej też zlikwidować kilka konfliktów, z których najważniejszy był chyba konflikt kongijski, co nie obyło się zresztą bez wstrząsów zagrażających samemu istnieniu Organizacji.

Ale autorytet Organizacji Narodów Zjednoczonych wciąż jeszcze jest niewielki, wciąż jeszcze szefowie różnych marionetkowych państewek pozwalają sobie na dawanie jej kopniaków, wciąż jeszcze Organizacja nie ma dostatecznej siły i potrzebuje nianiek. Jedną z takich nianiek jest m. in. prez. John Kennedy, który w najbardziej krytycznych momentach wspiera Organizację zbrojnym ramieniem Stanów Zjednoczonych.

Gdyby Organizacja Narodów Zjednoczonych miała większą moc, gdyby zrzeszone państwa bez zastrzeżeń musiały się podporządkować decyzjom Organizacji, nie byłoby potrzebne osławione konferencje na szczycie.

Nie negując wielkich zasług Organizacji nie możemy jednak nie wysuwać zastrzeżeń pod jej adresem. Na naszych oczach jedno zrzeszone państwo miesza się zbrojnie do spraw wewnętrznych innego państwa, jak to miało np. miejsce niedawno w przypadku interwencji w Jemenie ze strony Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Na naszych oczach wyrastają wybujałe nacjonalizmy, które pod pokrywką walki z kolonializmem i imperializmem dążą do podporządkowania sobie lub wypłenicia innych ludów. Na naszych oczach mnożą się tyrani depczący prawa człowieka. W dalszym ciągu rządzą w Hiszpanii Franco, w Portugalii Salazar, w Paragwaju Stroessner, w Nicaragua — Somoza. Ostatnio do tej gromady ciemnych przyłączyli się: haitański Duvalier i indonezyjski Su-

karno, który "pozwoił się" obrać dożywotnio prezydentem. Na naszych oczach Unia Południowo-Afrykańska wprowadza ustawy rasistowskie, a narody zjednoczone patrzą na to i nic nie mogą poradzić.

Dlatego wydaje się słuszną wysuwana przez wielu polityków idea konieczności zmiany Karty Narodów Zjednoczonych.

Najbardziej dyskusyjna jest tu kwestia weta wielkich mocarstw. Zerwanie z tą zasadą stanowi jednak warunek skuteczności działania Organizacji. Nie mniej ważnym zagadnieniem jest zagadnienie równości praw w głosowaniu małych i dużych państw. Wytwarza się tu sytuacja groteskowa. Jakieś państwo liczące kilka milionów ludności może się przyczynić do przegłosowania dużych państw. Jakieś wyjście, które by nie zagrażało małym państwom, a jednocześnie nie doprowadzało do wodzenia za nos olbrzymów przez liliputów, musi być znalezione. Wreszcie sprawa najważniejsza to wyposażenie Organizacji w odpowiednie kompetencje i zapewnienie jej możliwości egzekwowania swoich decyzji.

Świat dojrzał już do rozwiązania problemu powszechnego rozbrojenia. Gdy dojdzie do porozumienia w tej sprawie

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość ..	str. 7 - 9
W świecie nauki ..	" 10 - 11
Reflektorem po świecie ..	" 12 - 13
Przeszłość a teraźniejszość ..	" 13
Podróże — Przygoda ..	" 14 - 15
Sztuka ..	" 16 - 17
W Brazylii ..	" 18
Opowiadanie — Szkic ..	" 19 - 24
Zagadnienia społeczne ..	" 25 - 26
Na naszym podwórku ..	" 27 - 29
W starym kraju ..	" 29 - 30

ZAPORA ATOMOWA NA WIŚLE

Pisaliśmy już kilkakrotnie o aferze zachodnio-niemieckiego tygodnika "Der Spiegel", nie poruszając jednak najważniejszej rzeczy w tej aferze, rzeczy, która nas, Polaków, powinna najbardziej interesować.

Jak wiadomo podstawą oskarżenia redaktorów "Der Spiegel" o zdradę tajemnic państwowych był opublikowany dn. 10 października r. 1962 artykuł omawiający wyniki manewrów wojskowych oraz plany strategiczne NATO.

Plany te przewidują, jak się okazuje, na wypadek ataku Związku Radzieckiego na Europę zachodnią natychmiastowy kontratak lotnictwa NATO.

Jak o tym pisze Jerzy Przyłuski w chicagowskiej "Orce" w numerze 1 - 2 z rb.: "jako cele dla lotnictwa zostały wyznaczone: bazy rakietowe, lotniska, a przede wszystkim najcenniejsze miejsca rosyjskiego napastnika: jego długie linie zaopatrzenia. Europejski teatr wojenny ma być odcięty od zaplecza rosyjskiego na linii Wisły. Rewelacje Spiegla nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości, że zaporą na Wiśle ma być stworzona przy pomocy bomb nuklearnych".

"Nie trzeba być ani fizykiem atomowym, ani też specjalistą wojskowym, a żeby zdać sobie sprawę z tego co oznacza dla narodu polskiego taka zaporą nuklearną na Wiśle. Byłaby to śmierć wielu milionów ludzi, zatrucie radioaktywnymi opadami wielu milionów pozostałych przy życiu, kompletne zniszczenie centralnej Polski od Bałtyku po Karpaty, a więc najważniejszego historycznie, kulturalnie i geopolitycznie jej obszaru. Po takiej katastrofie naród polski nigdy nie byłby w stanie odbudować państwa zdolnego do odegrania samodzielnej roli w tej części Europy".

Plany strategiczne NATO, jak słusznie przypuszcza Przyłuski, układali zapewne nie politycy, ale generałowie, wśród których poważną liczbę i na kluczowych stanowiskach w sztabach NATO stanowią generałowie niemieccy. "Znając historię środkowej Europy nie trudno się domyśleć, że to właśnie oni byli głównymi inicjatorami i najgorliwsi promotorami planu zapory atomowej na Wiśle. Wykonanie tego planu stworzyłoby możliwość realizacji odwiecznych planów niemieckich, których dotychczas nie udało się im w pełni wcielić w życie".

Przyłuski twierdzi, że prasa światowa pisała wprawdzie obszernie o aferze Spiegla, ale interesowała się tą aferą wyłącznie pod kątem widzenia kryzysu rządowego w Niemczech i aresztowań redaktorów. Sprawę zapory atomowej na Wiśle poruszył jedynie brytyjski "Manchester Guardian". Dodajmy od siebie, że również prasa krajowa zachowała w tej sprawie złą milczenie, co należy chyba tłumaczyć obawą przed wywołaniem popłochu wśród społeczeństwa polskiego przeświadczonego dotychczas o dobrej woli polityków amerykańskich w stosunku do Polski.

Spośród pism emigracyjnych pierwszy w tej sprawie odezwał się "Dziennik Polski" z Detroit. Artykuł tego dziennika pt.: "Domagamy się dochodzeń" powtórzyło chicagowskie: "Ameryka-Echo" i kilka innych gazet polskich. Artykuł "Dziennika Polskiego" utrzymany w gwałtownym tonie potępia z całą bezwzględnością mordercze plany, pod którymi widniałby podpis Stanów Zjednoczonych.

"Ponieważ rola Stanów Zjednoczonych w NATO jest dominująca — pisze "Dziennik Polski" — domagamy się, aby kon-

gresmani polskiego pochodzenia zażądali kongresowych wyjaśnień w tej sprawie choćby dla uzyskania odpowiedzi na pytanie: dlaczego w planach wojennych przeciw Rosji główną cenę, bo cenę życia całego narodu i państwa, ma płacić Polska?"

Jak dotąd Kongres Stanów Zjednoczonych nie zajął się jednak tą sprawą. Jedynie Departament Stanu na skutek interpelacji kongresmana L. Nedzi z Michiganu wyjaśnił, że informacje "Der Spiegel" są nieprawdziwe. To ogólnikowe oświadczenie nie budzi wiary zwłaszcza, że rewelacje Spiegla poparte były fotograficznymi zdjęciami dokumentów, i że jak słusznie twierdzi Przyłuski, gdyby były zmyślone to nie wywołałyby kryzysu w Niemczech Zachodnich i nie spowodowałyby oskarżenia redaktorów Spiegla i zamieszanych w tę sprawę wojskowych niemieckich o ujawnienie tajemnic państwowych i zdradę stanu. Wiadomości podane przez Spiegel zostały następ-

nie powtórzone, a nawet uzupełnione dalszymi szczegółami przez jedno z najważniejszych pism brytyjskich "Manchester Guardian".

Wielką kampanię w sprawie wyjaśnienia prawdziwości zarzutów "Spiegla" prowadzi na łamach "Ameryka Echo" Bohdan Pawłowicz, którego obywatelskie stanowisko zasługuje na uznanie.

Jak się dowiadujemy w tej sprawie ma być podjęta uchwała Kongresu Polonii Amerykańskiej. Czekamy z zainteresowaniem na dalsze wiadomości.

Zgadza się całkowicie z Bohdanem Pawłowiczem, że będąc narodem ufnym ludzi polegamy zbyt łatwo na naszych przyjaciół, co sprowadzało na nas w okresie ostatnich dwustu lat nieszczęścia i klęski. Ufnosć i wierność powinny mieć granice i cnoty te muszą być kontrolowane przez rozum stanu, mądrość samozachowawczą i rozsądek.

"Czy nie mamy za dużo zaufania — powiada Pawłowicz — i czy właśnie dlatego nie siedzimy zbyt spokojnie... nie krzyczymy w niebogłose i nie bijemy w dzwony na alarm?"

(as)

W świetle prawdziwych wydarzeń

Kwestia winy i odpowiedzialności za wywołanie II wojny światowej ciągle jeszcze należy w Bundesrepublik do problemów otwartych. Wprawdzie najróżniejsze instytuty badania opinii publicznej w NRF co pewien czas przeprowadzają "reprezentatywne" ankiety, według których coraz więcej osób dochodzi do wniosku, że wojnę rozpętała III Rzesza, jednakże pogląd ten bynajmniej nie jest w Republice Federalnej powszechny. Podziela go co najwyżej 50% osób ankietowanych, podczas gdy drugie tyle chętnie upatruje sprawców wojny we wszystkich, byleż nie w Niemczech.

Niewątpliwie poglądy te ciągle jeszcze są odbiciem ogłupiającej propagandy Goebbelsa. Ale ich utrzymywaniu się sprzyja to wszystko, co można by określić jako "rehabilitację zbrodniarzy wojennych", tolerowaną i popieraną w swoim czasie przez zachodnie władze okupacyjne. Wiele też szkody w tym względzie spowodowały pseudonaukowe i pseudohistoryczne książki, których autorzy albo zamazywali kwestię winy za wywołanie wojny, albo też winę tę wręcz przenosili na państwa sojusznice.

W samym założeniu władz bońskich cel akcji rehabilitacyjnej byłby niepełny, gdyby miała się ona zakończyć li tylko wybieleniem pewnej liczby przestępców wojennych, upatrzonych na stanowiska dowódców Bundeswehry. W miarę coraz intensywniejszego włączania Bundeswehry do atlantyckich sił zbrojnych jako integralnego, zasadniczego członu NATO, zdjęcie straszliwego odium, ciążyącego na III Rzeszy i wojskach hitlerowskich z tytułu rozpętań wojny światowej, stawało się coraz bardziej palące. Organizatorzy sił zbrojnych Bundeswehry niejednokrotnie jakby starali się wręcz zasugerować opinii publicznej, że państwo hitlerowskie bynajmniej nie wyrażało zachłanności imperializmu niemieckiego, lecz przeciwnie — występowało tylko w obronie interesów narodowych. Rzecz w tym, że gdyby taka koncepcja zdołała zyskać prawo obywatelstwa, to dopiero wtedy akcja rehabilitacyjna całkowicie spełniłaby swoje zadanie. Hitlerowska wojna agresywna można by przedstawiać jako... obronę.

W Bundesrepublik nigdy nie brakowało amatorów odwracania kota ogonem. Nieraz już dyktatorzy i generałowie hitlerowscy chwytały za pióro, by swoje cenne wspomnie-

nia i bezcenne doświadczenia wojenne dorzucić jako wsparcie "ideałów atlantyckich" i "obrony kultury zachodniej". W taki np. sposób, niejako wyczuwając wiatr w powietrzu "zamówienie społeczne", znanemu dziełu przeinaczania faktów poświęcił się przyjaciel Hitlera — generał Konstantin Hierl.

Mamy tu na myśli przede wszystkim jego wydaną w Heidelbergu książkę pt. "Schuld oder Schicksal?" ("Wina, czy przeznaczenie?"). Główna teza tej książki głosi właśnie, że w gruncie rzeczy nie może być w ogóle mowy o jakimś choćby pojęciu winy i odpowiedzialności hitlerowskich Niemiec za wywołanie wojny. Na ten temat gen. Hierl pisał w swojej książce dosłownie:

"Zarzut co do niemieckiej odpowiedzialności wojennej w II wojnie światowej nie mogą uznać za uzasadnione. Odrzucam go już choćby z tego względu, że w ogóle nie dopuszczam pojęcia winy wojennej. (...) Wojny powstają, ponieważ dochodzi do starcia przeciwstawnych uprawnionych żądań, które mogą być rozstrzygnięte tylko przy pomocy zbrojnego zmierzania się sił. Przeciwnieństwa te uwarunkowane są samym przeznaczeniem w życiu narodów".

Gdy jednak przychodzi do konkretnego rozpatrzenia problemu winy, to wtedy gen. Hierl potrafi odrzucić tę całą "mystykę" i rozstrzygnąć w swoim atlantycko-hitlerowskim sumieniu, że pierwszym sprawcą II wojny światowej była Polska. A to dlaczego? Dlatego, że w 1939 roku Polska "nie chciała dość do porozumienia z Hitlerem".

Wprawdzie powszechnie wiadomo, że dezyderaty "Führera", tak zawsze czulego na głos "przeznaczenia", nie należały do najskromniejszych, ale to nie jest ważne, to tym gorzej dla Polski...

W podobny sposób Herr General darzy odpowiedzialnością za wojnę kolejno wszystkie państwa sojuszu antyhitlerowskiego. Ba! — skłonny jest nawet dopatrywać się winy "w płataninie błędów, namietności i słabości czołowych mężów stanu oraz walczących narodów". Na koniec w szlachetnej pasji historyka, który doszedł do jądra rzeczy po mozolnych i wytrwałych badaniach woła:

"Kto może się jeszcze ośmielić w ogóle mówić o 'winie wojennej'?... Teza o niemieckiej winie wojennej została zdemaskowana jako kłamstwo propagandowe — po wykryciu

prawdziwych, historycznych związków i wydarzeń”.

Wszystkim tym, którzy — podobnie jak gen. Hierl — lubią wikłać prawdę w sieć mistycznych wywodów, byleby zamazać winę III Rzeszy, należałoby zalecić lekturę pewnych stenogramów norymberskich. Mamy tu na myśli przede wszystkim protokoły zeznań, które w dniu 12 września 1945 roku w Norymbardze wobec amerykańskiego prokuratora pułk. H. Brundage złożył niejaki Alfred Naujocks.

Alfred Naujocks, członek NSDAP od roku 1931 i Sturmbannführer SS (odpowiednik rangi majora), był w sierpniu 1939 r. zastępcą szefa departamentu III w SD (Służba Bezpieczeństwa) w Berlinie, zajmował się sprawami defensywy i podlegał wówczas współpracownikowi Himmlera — generałowi Heydrichowi. Zeznania Naujocksa dotyczyły sfingowanego przez „gestapo” napadu rzekomych „Polaków” na stację radiową w Gliwicach (wówczas w granicach Rzeszy) w dniu 31 sierpnia 1939 roku, tuż przed najazdem Hitlera na Polskę. Oto fragmenty przesłuchania:

PROKURATOR BRUNDAGE: Czy bezpośrednio przed agresją na Polskę miał pan coś wspólnego z organizowaniem incydentu na granicy polsko-niemieckiej?

OSKARZONY: Tak. W tym czasie było moim obowiązkiem urządzić najście na stację radiową w Gliwicach. (...) Heydrich wydał mi rozkaz, abym udał się z 5 lub 6 ludźmi do Gliwic, które leżały wówczas w obrębie Niemiec. To nie była granica. Heydrich oświadczył, że trzeba namacalnych dowodów dla prasy zagranicznej, które by usprawiedliwiły agresję na Polskę i że liczy na wybuch wojny między Niemcami a Polską w najbliższych kilku dniach. Moim obowiązkiem miało być wykonanie napadu na radiostację w Gliwicach, potem przemówienie po polsku przez rozgłośnię do polskiej mniejszości na Śląsku. Nie był to zwyczajny incydent graniczny, jak inne. Miał tylko jeden cel na względzie — oszukać prasę zagraniczną...

PROKURATOR: Nie zrozumiałem dokładnie, co pan miał robić w radiostacji w Gliwicach?

OSKARZONY: Miałem przemawiać przez radio w Gliwicach po polsku i podżegać polską mniejszość, zamieszkującą Górny Śląsk, do powstania...

PROKURATOR: Nie dokonaliście tego napadu?

OSKARZONY: Przeciwnie, został dokonany. (...) Napad miał na celu wykazanie polskiej winy przy wybuchu wojny.

Prowokacja hitlerowska w Gliwicach była tylko jedną spośród wielu. O innej, dokonanej w nocy z 30 na 31 sierpnia 1939 roku, mającej również przedstawić Polskę jako kraj napastniczy, opowiedział tenże Naujocks w dalszych zeznaniach.

OSKARZONY: Byłem świadkiem konferencji na temat innej akcji i dzięki temu znam szczegóły także i tej. (...) Druga akcja była normalnym incydentem granicznym, o którym później miało być głośno. (...) Zadanie trzeba było wykonać ludźmi w sile jednej kompanii i bezpośrednio na samej granicy. Miano tam upozorować polityczkę, w czasie której jeden Niemiec miał być zabity, a następnie znaleziony na granicy polsko-niemieckiej. Następnie miano wykryć ludzi w mundurach polskich...

PROKURATOR: Mam tutaj zeznania osoby, która wstąpiła do policji w lipcu 1939 i która miała złożyć dokładnie sprawozdanie naczelnemu dowództwu SS w Berlinie.

Następnie prokurator pułk. Brundage stwierdził, że — jak wynikało z zeznań tej osoby — została ona wysłana do kompanii ubranej w polskie mundury, która upozorowała atak na budynek straży celnej w Ho-

PONURA WIZJA

Komisja spraw wojskowych parlamentu amerykańskiego podała ostatnio do wiadomości treść oświadczenia sekretarza Obrony Roberta Mc Namara na temat przyszłej wojny światowej.

Dyskusja rozpoczęła się od pytania kongresmana partii republikańskiej Karola Chamberlain'a w sprawie planów strategicznych Stanów Zjednoczonych „po wystrzeleniu wszystkich naszych pocisków kierowanych bądź gdy wszystkie swe rakiety zużyje Rosja”.

Mc Namara stwierdził w odpowiedzi, że w tym momencie „jest zupełnie możliwe, a nawet prawdopodobne, że straty w ludziach w Europie Zachodniej wyniosą ok. 90 milionów, Stany Zjednoczone stracą blisko sto milionów i tyleż Związek Radziecki”. Biorąc pod uwagę tę cyfrę „trudno sobie wyobrazić jakiego rodzaju broń wojenna może prze-

trwać, czy też w jaki sposób może być zużyta. Stany Zjednoczone wzięły jednak pod uwagę taką możliwość i opracowały system, który ma szansę przetrwania”.

Mówiąc to Mc Namara miał prawdopodobnie na myśli nuklearne łodzie podwodne, które uważane są w chwili obecnej za niemożliwe do zniszczenia przez przeciwnika. Zaznaczył on jednak, że „przekracza to granice mojej wyobraźni w jaki sposób bronie te możnaby użyć i jaką korzyść miałyby z tego naród w takiej sytuacji”.

Należy sobie zdać sprawę, powiedział Mc Namara, że atak radziecki na Stany Zjednoczone zwróciłby się zapewne przeciw dużym miastom. Obie strony poniosłyby tak wielkie straty w pierwszych bombardowaniach nuklearnych, że nie sposób przewidzieć jakimi siłami byłyby w stanie dysponować po ich zakończeniu.

(kb)

henlinden nocą z dnia 30 na 31 sierpnia 1939 roku.

PROKURATOR: Pan rozmawiał z Heydrichem 10 sierpnia. Czy opowiadał panu wtedy coś więcej o zamiarach Hitlera?

OSKARZONY: Nie. Powiedział tylko, że Führer potrzebuje „materiału” dla rozpoczęcia agresji na Polskę.

PROKURATOR: Przez „materiał” rozumiał ten incydent graniczny?

OSKARZONY: Tak jest.

- ★ -

Treść tego dokumentu jest tak jednoznaczna, że w jej świetle nie może być wątpliwości, kto na kogo napadł. Lektura stenogramów norymberskich mogłaby odświeżyć pamięć niejednemu „historykowi” zachodni Niemiecemu. Ukazywanie państwa hitlerowskiego w roli łagodnego baranka — nawet jeśli się dysponuje tak świetnymi dziejopisami, jak generał Hierl i jemu podobni — to gra naprawdę nie warta świeczki.

ALEKSANDER PŁACZKOWSKI



Zbigniew Cybulski w nowym filmie polskim: „Ich dzień powszedni”.

W MROKU...

Dok. ze str. 7

Organizacja Narodów Zjednoczonych powinna rozporządzać siłą zbrojną, która by mogła zapewnić utrzymanie pokoju.

W wieku atomowym niektóre stare pojęcia wciąż jeszcze nie tracą mocy. Do takich anachronicznych pojęć należy np. tabu w zakresie spraw wewnętrznych państwa. Niech będą gwałcone zasady demokracji, niechaj tyrani depczą prawo człowieka i obywatela — nikt się do tego nie ma prawa wtrącić. Mała klika polityków, pozbawiczych wszelkich skrupułów, w oparciu o posłuszne sobie wojsko i policję, gnębi cały naród i obcym potencjom do tego zasię. Myślę, że czas już najwyższy aby Organizacja Narodów Zjednoczonych miała prawo wkraczania z urzędu w takich wypadkach i przywracania wolności ciemionym narodom.

ARAMIS

NAUKA POLSKA W ŚWIECIE

Trudno powiedzieć, aby Polacy mieli najlepsze warunki do nauki. Zbyt często kraj nasz przekształcał się w teren wojen; zbyt często naród bywał zamieszany w różne zawieruchy światowe. Nie było więc spokoju, nieodzownego w pracach naukowych. Wielu uczonych wyjeżdżało za granicę, aby dopiero tam osiągać światowe sukcesy. Stąd też wielu spośród nich było lepiej znanych wśród obcych, niż przez własny naród.

A przecież mieliśmy i nadal mamy czym się pochwalić. Już w 1273 roku w wielu krajach ukazało się dzieło polskiego uczonego Witelona z zakresu optyki, którym posługiwał się później znakomity astronom Kepler. Również w fizyce oraz w matematyce zasłynęli w XVI w. Tomasz Kłos i Stanisław Grzepski, przy czym ten ostatni był autorem pierwszego polskiego podręcznika geometrii. Szeroko rozeszła się po Europie sława innego polskiego fizyka, Adama Kochańskiego, który po wieloletnim pobycie za granicą wrócił do kraju i objął urząd sekretarza króla Jana Sobieskiego.

W średniowieczu i w czasach nowożytnych dzisiejszą chemię nazywano alchemią. Z Polaków wsławił się w tej dziedzinie dominikanin Kowski, który pierwszy dokonał doświadczeń z antymonem uważanym przez współczesnych za "kamień filozoficzny". Z innych polskich "alchemików" wymienić trzeba także Michała Sędziwoja, Jana Polaka, Jana Górskiego oraz Marcina Gorańskiego.

Nie trzeba chyba przypominać, że w tymże okresie żył i tworzył podstawy wiedzy astronomicznej Mikołaj Kopernik — autor prac, które zrewolucjonizowały dotychczasowe poglądy na świat.

Nawet w najcięższym dla narodu polskiego okresie rozbiorów nauka polska co rusz dorzucała znakomite nazwiska do światowej czołówki. Lekarz i biolog Jędrzej Śniadecki, geolog i fizyk Stanisław Staszic, chemik Ignacy Domeyko, fizyk Filip Walter — powołany na wykładowcę paryskiej Ecole Centrale, geograf Jan Czerski, zoolog Benedykt Dybowski, a przede wszystkim Maria Curie-Skłodowska, nazwana "matką" ery atomowej — oto tylko najsłynniejsze postacie z galerii polskich naukowców, mających zasługi dla całej ludzkości.

Tradycje polskiej nauki są więc dawne i wielkie. A i dziś w wielu dziedzinach polska nauka zajmuje przodującą pozycję w świecie, godnie kontynuując dzieło Kopernika, Curie-Skłodowskiej i innych znakomitych uczonych. Aktualny przegląd osiągnięć trzeba zacząć od nauk ścisłych — podstawowych w erze atomowo-kosmicznej.

Już pół wieku temu, z inicjatywy nieżyjących dziś profesorów Janiszewskiego i Mazurkiewicza oraz nestora nauki polskiej światowej sławy matematyka, członka licznych zagranicznych akademii naukowych — prof. Wacława Sierpińskiego, narodziła się t. zw. "polska szkoła matematyczna". W okresie dwudziestolecia szkoła ta zdobyła rozgłos światowy za badania w najbardziej abstrakcyjnych działach matematyki. Po tym powstał jeszcze jeden ośrodek matematyczny, reprezentowany przez prof. prof. Hugo Steinhausa i Stefana Banacha. Ten drugi ośrodek zajął się działem zastosowań matematycznych. Po wojnie prace obydwóch ośrodków skupiły się w Instytucie Matematycznym kierowanym przez prof. Kazimierza Kuratowskiego. Powstało kilka placówek, przy czym w dziedzinie analizy matematycznej (algebry, topologii, teorii przestrzeni funkcyjnych i in.) światowy rozgłos osiągnęła Warszawa i Łódź, a w zastosowaniach matematycznych — dziedzinie zajmującej się powiązaniem nauki z praktyką — Wrocław, kierowany przez prof. Steinhausa. Obydwa te

kierunki dały olbrzymi wkład matematyków polskich do nauki światowej. Nie ma poważniejszej biblioteki naukowej na świecie, gdzie by nie znajdowały się polskie publikacje i czasopisma z dziedziny matematyki. Nie ma spotkania naukowców, na którymby nie była reprezentowana matematyka polska w osobach prof. Sierpińskiego, Steinhausa, Kuratowskiego, czy ich uczniów i współpracowników: prof. K. Borsuka — w topologii, Mazura i Orlicza — w zakresie analizy funkcjonalnej, A. Mostowskiego — w podstawach matematyki i in. Kilka lat temu, z inicjatywy Instytutu zapoczątkowano budowę elektronowych maszyn matematycznych. Opiekę nad tym działem powierzono prof. Greniewskiemu. Niebawem powstało kilka udanych prototypów, a w 1959 r. przystąpiono w Polsce, jako jednym z pierwszych państw w świecie — do produkcji przemysłowej tych maszyn.

Skonstruowanie maszyn matematycznych byłoby niemożliwe bez elektroniki. Światowa pozycja zawdzięcza ta młoda gałąź naukowa postaci prof. Janusza Groszkowskiego, autora t. zw. teorii generatorów, w latach przedwojennych, oraz — ostatnio znakomitego odkrycia t. zw. techniki wysokiej próżni. Odkrycie to wiąże się z zagadnieniem półprzewodników, będących najnowocześniejszą odmianą lamp elektronowych. W praktyce oznacza ułatwienie i bujny rozwój aparatów techniki łączności, radiotechniki, telewizji, radiolokacji i in. Polska ma w tej dziedzinie wielkie osiągnięcia, czego dowodem jest m. in. wyprodukowanie w kraju radaru własnej konstrukcji. Państw, które dysponują własnymi radarami, jest na świecie zaledwie 6.

Powiązanie elektroniki z matematyką, zrodzone z okazji skonstruowania maszyn matematycznych, było tylko fragmentaryczne. W gruncie rzeczy elektronika jest bliższa fizyce. Tu na pierwszy plan wysuwa się nazwisko prof. Leopolda Infelda, współpracownika twórcy teorii względności, Alberta Einsteina. Prof. Infeld, który w 1950 r. powrócił do kraju z Kanady, gdzie współpracował przy obliczeniach związanych z zagadnieniem rozbitcia atomu, kontynuuje te badania i obecnie. Ukoronowaniem ich było wydanie książki na temat ruchu według teorii względności ogólnej, mającej praktyczne zastosowania twórcy teorii względności, Alberta Einsteina. Drugim światowej sławy polskim fizykiem — teoretykiem, jest prof. Wojciech Rubinowicz. Już przed wojną osiągnął on znakomite wyniki badań teorii promieniowania atomów. Badania te kontynuuje i obecnie, przy czym ostatnią jego książkę z tego zakresu wykupiły w całym nakładzie placówki naukowe w Niemczech Zachodnich. Spośród młodych fizyków — teoretyków wspomnieć należy o inż. A. Trautmanie — autorze znakomitej pracy z zakresu ogólnej teorii względności oraz badań w dziedzinie fal grawitacyjnych. Prace te znalazły uznanie szczególnie u fizyków angielskich, czego dowodem jest propozycja wysunięta przez londyńskie Kings College nawiązania współpracy z polskim uczonym.

Światowy rozgłos uzyskały polskie badania w dziedzinie termospreszystości i plastyczności prowadzone pod kierunkiem znakomitych uczonych prof. prof. Wacława Olśzaka, Pawła i Witolda Nowackich i in. Badania te dotyczą m. in. takich zagadnień, jak: bezpieczeństwo budowli, określania przemieszczeń i odkształceń powierzchni ziem w obszarach górniczych, ustalenia dopuszczalnych naprężeń dla konstrukcji stalowych, uzyskania wysoce oszczędnościowych stopów zawierających rzadkie metale itp. Polskie monografie w tych dziedzinach uzyskały niezwykle pochlebną opinię na świecie.

Ta sama grupa uczonych, jako jedna z pierwszych w świecie, zajęła się ostatnio badaniem nowej dziedziny naukowej, magneto-sprężystości.

W zakresie chemii światowe koła naukowe notują nazwiska prof. prof. Wojciecha Świątosławskiego, Stanisława Bretsznajdra i Włodzimierza Trzebiatowskiego. Najcenniejsze ich prace dotyczą badań nad niezwykle ekonomiczną metodą uzyskiwania tlenu aluminium z krajowych glin, nad zagadnieniem nietrwałego wodorku niklu oraz zawartości wodoru w stali. Badania dokonywane w pracowniach naukowych i laboratoriach bywały nieraz przenoszone na forum praktyki. I tak np. prof. Bretsznajder pracujący nad metodą uzyskiwania tlenu aluminium, zainteresował się "ubocznie" zagadnieniem siarki. Z jego — pośrednio — inicjatywy geolodzy zajęli się poszukiwaniem złóż tego minerału w Polsce, a po ich odkryciu zastosowano opracowane przez tego naukowca nowoczesne — wyjątkowo racjonalne metody eksploatacji siarki. Zasadą polskich chemików jest także opracowanie metody zwiększenia zakresu wykorzystania produktów zawartych w smole koksowniczej oraz odparafinowania ropy i oleju napędowego celem otrzymania niezwykle cennej dla przemysłu parafiny.

Od geologii — krok do paleontologii. Geolodzy poszukują m. in. złóż nowych surowców, rozwiązują trudne problemy gospodarki wodnej — paleontolodzy zajmują się zgłębianiem wnętrza ziemi i odkrywaniem tam wielkich tajemnic przyrody. Polska paleontologia chlubi się osobą prof. Romana Kozłowskiego. Opracował on własną metodę ułatwiającą poszukiwania szkieletów organicznych w skałach osadowych. Dzięki zastosowaniu tej metody prof. Kozłowski odkrył w pobliżu Warszawy najstarsze rośliny lądowe, liczące 400 mln lat. Jedną z nich nazwano (w tłumaczeniu z łaciny) "roślina mchowata Kozłowskiego". W uznaniu tego epokowego odkrycia, prof. Kozłowski został odznaczony brytyjskim medalem Wollastona — najwyższym odznaczeniem w światowej geologii.

Listę znakomości z zakresu nauk biologicznych otwiera prof. Władysław Szafer z Krakowa. Uzyskał on światowe uznanie za pracę o miocenkiej flory z Gliwic oraz szeregi innych dzieł naukowych. Prof. Dehnel — kierownik zakładu badania ssaków w Białowieży, jest jedynym na razie uczonym, któremu udało się dokonać obustronnych krzyżówek żubra z bydlęciem domowym. W dziedzinie antropologii — znów sława światowa — prof. Jan Czekanowski, potomek słynnego geologa z XIX w. On był inicjatorem i opiekunem polsko-egipskich badań naukowych prowadzonych na zachodniej pustyni w Egipcie. Z zakresu nauk rolniczych cały cywilizowany świat stosuje polską metodę kartografii gleboznawczej, opracowaną przez Instytut Gleboznawstwa w Puławach.

Nie pozostała w tyle medycyna i farmacja. Polscy chirurdzy, prof., prof. Tadeusz Manteufel i Adam Gruca wstawili się opracowaniem własnych metod dokonywania operacji t. zw. "torakoplastyki" (Manteufel) i chirurgii kostnej (Gruca). Z zakresu farmaceutyki warto wspomnieć o dwóch lekach antymiażdżycowych i "nitroguanilu" — leku antymalarycznym, wynalezionych w polskich laboratoriach.

W dziedzinie nauk społecznych światową sławą cieszą się prof. Oskar Lange z zakresu ekonomii oraz prof. Tadeusz Kotarbiński w naukach humanistycznych. Słynny archeolog basenu Morza Śródziemnego prof. Kazimierz Michałowski wstawiał się badaniami dokonywanymi na Bliskim Wschodzie i uchodził w tej dziedzinie za autorytet w skali światowej.

Andrzej Osiecki

Zapałka do zapalenia ciężkiej wody

Od wielu już lat uczeni różnych narodowości starają się o ujarznienie energii wytwarzającej się podczas łączenia się izotopów pierwiastka wodoru, zwanych deuterem i trytem (deuterium i tritium). Jak wiadomo na zasadzie łączenia się tych izotopów konstruowane są bomby H. czyli wodorowe. Jeżeli jednak spowodowanie gwałtownej eksplozji bomby wodorowej nie przedstawia dziś wielkich trudności dla techników, którzy już tę metodę opanowali, inaczej sprawa się przedstawia, gdy chodzi o wywołanie miniaturowych wybuchów wodorowych w zamkniętym naczyniu i wykorzystanie energii wytwarzającej się z połączenia stosunkowo niewielkich ilości deuteru, względnie trytu. Do wytworzenia się procesu reakcji łańcuchowej w bombie wodorowej potrzebna jest "zapałka" w postaci bomby uranowej, lub plutonowej, która eksploduje, wytwarza momentalnie temperaturę kilkudziesięciu milionów stopni i wielkie ciśnienie lokalne, co razem rozdziela atomy deuteru na luźne elektrony i protony tworząc z nich zjonizowaną plazmę. Dopiero w takich warunkach jądra izotopów wodoru mogą łączyć się w atomy helu, wydzielając przy tym więcej energii niż ta, która została użyta do wytworzenia gorącej plazmy.

Po wybuchach pierwszych bomb wodorowych liczni fizycy postawili sobie pytanie: czy w warunkach laboratoryjnych nie byłoby można uzyskać łączenia się ciężkiego wodoru w hel i wykorzystać w celach praktycznych wytwarzającą się przy tym energię?

Niezbędnym warunkiem takiego osiągnięcia jest wytworzenie temperatury sięgającej wielu milionów stopni, niezbędnej do rozłożenia atomów na plazmę (odłączenie elektronów od jąder atomowych). Przypominamy sobie, że przed kilkoma laty uczony angielskim wydawało się, że osiągnął ten cel w maszynie "Zeta", lecz wkrótce okazało się, że się pomylił. Nie zrażeni pierwszym niepowodzeniem, prowadzili nadal doświadczenia w tym kierunku, naśladowani przez fizyków szwajcarskich, amerykańskich, a także francuskich. Dziś nie można powiedzieć, że cel został już osiągnięty, lecz wszystko wskazuje na to, że poważnie do niego się zbliżono.

Największe trudności nasuwa wytworzenie odpowiednich wysokich temperatur, których potrzebna wysokość nie jest jeszcze dokładnie znana. Mówi się o 100 milionach stopni, ale jest także możliwe, że wystarczą temperatury znacznie niższe. Samą plazmę z deuteru rozbitego na elektrony i jądra można uzyskać już w temperaturze 15.000 stopni, lecz jądra mogą łączyć się z sobą jedynie wtedy, gdy posiadają ogromną energię, a tę może im dać tylko bardzo wysoka temperatura. W pierwszych etapach badań osiągnano wysoką ciepłą potężnymi wyładowaniami elektrycznymi, lecz sposób ten okazał się niepraktyczny, ponieważ wymagał zużycia olbrzymich ilości energii. Obecnie większe nadzieje daje nagłe ściśnięcie plazmy przez zwiększenie siły pól magnetycznych w naczyniu, w którym plazma się znajduje. W ten sposób osiągnięto już krótkotrwałe temperatury 10 milionów stopni. Dodać jeszcze trzeba, iż nie chodzi o podtrzymanie takiej ciepłoty przez dłuższy okres czasu, lecz o wytworzenie pierwszych połączeń atomowych w plazmie, bo wtedy, podczas wytwarzania się atomów helu, wydzielaliby się dostatecznie wysoka energia dla podtrzymania niezbędnej ciepłoty.

Drugą wielką przeszkodą w zrealizowaniu reaktora do przemieniania ciężkiego wodoru w hel okazała się trudność utrzymania plazmy w zamkniętym naczyniu dłużej, jak przez mały ułamek sekundy. Zjonizowane atomy znajdowały zawsze jakieś luki w polach magnetycznych, przez które się wymykały ku

ścianom naczynia, lub do wylotu, przez który przepuszcza się plazmę. Ostatnio znaleziono na tę uciążliwą sposob, kombinując pola magnetyczne tak, że zjonizowane atomy nie mogą się wymknąć ani też narazić naczynia z plazmą na natychmiastowe stopnienie. Sposób ten umożliwia takie zgęszczenie plazmy w naczyniu, że nadanie wielkiej energii jądom ciężkiego wodoru i zapoczątkowanie pierwszych reakcji łączenia się stanie się pewnie wkrótce możliwe...

Możliwe po znalezieniu odpowiedniej... zapałki, która przez ułamek sekundy mogłaby podnieść temperaturę plazmy do kilkudziesięciu milionów stopni. Wśród uczo-

CIEKAWOSTKI NAUKOWE

Ślimaki

oczyszczają wody

Rośliny wodne stały się w niektórych krajach Ameryki Południowo-Wschodniej poważnym zagrożeniem żeglugi po niektórych rzekach, kanałach i jeziorach. W ostatnich latach wiele pisano na temat hiacyntów wodnych, które kompletnie blokowały żegluge, gęsto zarastając powierzchnie odcinków rzek.

Dla opracowania skutecznych metod przeciwdziałania powołano specjalny ośrodek naukowo-badawczy na Florydzie. Badając szybko zarastające roślinami wody jednego z małych jezior, naukowcy zauważyli, że wybitną działalność oczyszczającą prowadzi ślimaki, a ściślej mówiąc gatunek *Marisa cornuarietis* L, ten sam zresztą, który w swoim czasie hodowano jako specjal gastronomiczny.

Ślimak ten, wprowadzony przez naukowców na wypływające śródlądowe obszary wodne dla celów doświadczeń, okazał się niezmiernie użyteczny w tępieniu niektórych chwastów wodnych, w ich liczbie rdestnicy, glonów włóknistych, a nawet hiacyntów — szczególnie uporczywych, bardzo szybko rozrastających się, najbardziej bodaj kłopotliwych roślin dla żeglugi.

W 1957 r. zadomowiono ślimaki *Marisa* w kilku stawach w Puerto Rico, gdzie — żywiąc się liliami wodnymi — w krótkim przeciągu czasu przywrócili wodzie klarowność i całkowite uwolnienie od tych roślin.

Inna grupa naukowców przeprowadziła doświadczenia z tym samym gatunkiem ślimaka na plantacjach ryżu. Obserwowano skutki zorganizowanej "inwazji" setek ślimaków w ciągu całych miesięcy. Stwierdzono, że żywiły się one wyłącznie chwastami, wyrządzając nieznaczne szkody uprawom ryżowym. Tylko bardzo młode roślinki i kielkujące ziarna ulegały zniszczeniu.

Doświadczenia nie zostały jeszcze zakończone, dotychczasowe wyniki określają działalność ślimaków na polach ryżowych jako obiecującą. Ostateczna ocena zostanie dokonana po kilku kolejnych latach obserwacji.

Wzrok dotykowy

Kilka miesięcy temu cały świat obiegała sensacyjna wiadomość o niezwykłym talencie Rozalii Kuleszowej, która umie rozróżniać palcami kolory, odczytywać rysunki i teksty. Okazuje się jednak, że umiejętności jej nie są bynajmniej fenomenalne. Niedaw-

nych pracujących nad rozwiązaniem tego zagadnienia panuje od pewnego czasu wielki optymizm. Niektórzy z nich przepowiadają nawet, że ostatnie trudności mogą zostać usunięte w najbliższych miesiącach. Nie znaczy to, że po uzyskaniu pierwszej kontrolowanej reakcji ciężkiego wodoru będziemy zaraz posiadali wielkie reaktory wytwarzające olbrzymie ilości energii z ciężkiej wody, ale gdy już będzie istniał choćby najmniejszy, laboratoryjny prototyp, to później nic nie przeszkodzi zastosowaniu tych samych sposobów na większą skalę. Wówczas znikłyby zmartwienia o wyczerpujące się surowce energetyczne, bo oceany mogą nam dostarczyć nieograniczoną ilość ciężkiej wody, a dokładnie mówiąc ciężkiego wodoru.

("Nowy Świat")

no przed kamerą telewizyjną zademonstrowała takie same umiejętności inna kobieta, mieszkanka Świerdłowska, Tamara Kuczina.

Kuczina z zawiązanymi oczami poduszkami palców odczytywała teksty z gazet, rozpoznawała rysunki i kolory. O ile Kuleszowa rozwijała swe umiejętności przez pięć lat, o tyle Tamara Kuczina opanowała je w ciągu miesiąca.

Wykładowca Świerdłowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, który komentował program, oświadczył, że jak wykazały badania, tzw. wzrok dotykowy jest bardzo powszechny. Po audycji, którą prowadził w telewizji świerdłowskiej, zgłosiło się kilka osób, które umieją czytać i rozróżniać kolory za pomocą palców; wśród nich ociemniała Walentyna Sobolewa. Podobnie wśród studentów owej szkoły pedagogicznej również ujawniono kilka osób z zafascynacją takich umiejętności.

W Świerdłowsku zorganizowano eksperymentalną szkołę-laboratorium, która uczy "wzroku dotykowego". Do szkoły uczęszczają osoby niewidome i niedowidzące. Jak wykazały badania — wzrok dotykowy wyrabia się najlepiej u młodzieży a zwłaszcza u dziewcząt. Osoby starsze całkowicie niewidome opanowują tę umiejętność z większym trudem.

Niezwykły eksperyment

Telewizowie z Irkucka byli niedawno świadkami zadziwiającej transmisji telewizyjnej. Otóż w pewnej chwili na ekranie ich zwykłych telewizorów pojawił się obraz trójwymiarowy. Różnego rodzaju figury geometryczne — stożek, cylinder, walec odcierały się jakby w głębi ekranu. Telewizowie nie zdążyli jeszcze ochłonąć z wrażenia, gdy na ekranach ujrzeli nowy, tym razem kolorowy obraz prostokąta, mieniący się różnymi barwami.

Autorem transmisji był docent uniwersytetu irkuckiego, L. Mogilew, który — prowadząc pracę z zakresu fizjologii wzroku — doszedł do wniosku, że oko ludzkie ma jeszcze wiele właściwości nie wykorzystanych przez technikę. Wszystkie efekty zadziwiającej transmisji powstały przy zastosowaniu rysunków wykonanych czarnym tuszem na białym papierze, z uwzględnieniem specjalnych wyliczeń matematycznych.

Doświadczalna transmisja pozwoliła sprawdzić odkrytą przez L. Mogilewa zasadę na tysiącach telewizorów. Jak twierdzą specjaliści, eksperyment radzieckiego fizjologa może mieć duże znaczenie dla dalszego rozwoju telewizji.

REFLEKTOREM PO ŚWIECIE

Pewien stetryczący rówieśnik zwrócił mi cierpką uwagę, że mając wiele poważnych tematów oświetlać reflektorem biahostki.

Odpowiedziałem na to:

nie tylko w "Przeglądzie Polskim", ale w każdym piśmie znajdzie potężną dawkę poważnych zagadnień;

doświadczenie mnie nauczyło, że poważnych zagadnień nie należy traktować poważnie (epilog jeśli nie jest śmieszny to zazwyczaj opłakany);

nie zamierzam pisać w tej kolumnie o Kubie, Katandze, Laosie, segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych, Komisji Rozbrojeniowej, brazylijskiej sytuacji gospodarczej; nie wspomnę ani słowem o londyńskim "Zamku", ani o Radzie Trzech.

— Na starość może spoważnieję — pocieszyłem mojego rozmówcę.

Tetryk roześmiał się serdecznie.

— Ile pan ma lat? — zawołał.

— A tego to panu nie powiem! — odparłem.

* * *

Po ostatnim plebiscycie we Francji zjawił się u gen. de Gaulle'a naczelnik komisarzy plebiscytowy.

— Mój Boże, — zawołał — co za wspaniałe zwycięstwo!

— Hm, — uśmiechnął się łaskawie gen. de Gaulle — zwycięstwo zwycięstwem, ale może pan do mnie mówić: mój generale.

Franc Fiszer, postać dobrze znana w Warszawie na początku bieżącego stulecia, był sam w sobie instytucją, jeżeli chodzi o świetne powiedzonka i dowcip. Pojechał kiedyś do Krakowa. Wszystkim wiadomo jak gród podwawelski był czuły na tytuły. U Hawelki podszedł do Fiszera kelner.

— Jak mam szanownego pana tytułować? — zapytał uniżenie.

— Mczesz do mnie mówić Boże Ojczy — odpowiedział Franc Fiszer, gładząc wspaniałą, długą brodę.

Uwaga dla tetryka, o którym powyżej: Wolę Fiszera z brodą, niż Russela bez brody.

* * *

Nie mogę się oprzeć chęci przypomnienia jeszcze jednej historyjki o Fiszercie podanej przez J. Zarubę w jego pamiętnikach.

Przy stoliku u Wróbla na Mazowieckiej w Warszawie rozwodzono się o doskonałości służby folwarczej w Polsce. Fiszer miał majątek ziemski pod Łomżą.

— To wszystko giupstwo — przerwał opowiadającym. — Miałem stangreta. Józef mu było. Wyjeżdżając do Paryża ze stacji Ostrołęka, błądząc myślami nad Sekwaną, powiedziałem machinalnie: "Niech Józef poczeka". Nie było mnie w kraju dwa lata. Wracam niespodziewanie wezwany telegramem przez plenipotentę. Była noc. Jak ja się dostanę do domu? Wychodzę przed dworzec, patrzę moje konie i Józef. Zdumiony pytam skąd wiedział o moim powrocie. "Ja nie wiedziałem, ale pan dziedzic kazał czekać no to czekam" Dwa lata!

Uwaga dla tetryka, o którym powyżej: od wszystkich mów Macmillana, gładzenia Fidela, bicia butem w pulpit Naro-

dów Zjednoczonych — wolę tę historyjkę.

Ze smutkiem opuszczam Fiszerski światek i wracam do poruszania reflektorem po świecie.

* * *

Mr. Leonard Siegel, zamieszkały stale w Nowym Jorku przy 91 ulicy, miał dość malowania krajobrazów Nowego Świata i postanowił znaleźć coś ciekawszego w starym świecie. Pojechał do Szkocji.

Właściciel hotelu położonego nad uroczym brzegiem Loch Lomond, zwąchawszy dolarodajnego jankesa, ofiarował mu najlepszy reprezentacyjny apartament z balkonem.

Mr. Siegel rozpakował sześć waliz, z których dwie wypełnione były tubami farb olejnych i pędzlami, ustawił na balkonie sztalugi, rozejrzał się dokoła i zszedł do baru. Z małymi przerwami spędził w nim pierwszy tydzień swojego pobytu. W następnym tygodniu polecił zanieść do swojego apartamentu dwa tuziny butelek whisky. Posiłki kazał stawiać pod drzwiami. W kilka dni potem poprosił o rachunek.

Kiedy właściciel hotelu zjawił się z rachunkiem w apartamencie mr. Leonarda nogi się pod nim ugieły. Pokój zmienił oblicze. Na jednej ścianie wymalowany był olbrzymi talerz z ciekącą z niego owsianką. Obok patrzyła na niego, jak oko salamandry, janko na bekonie. Z dywanu uśmiechała się zalotnie naga niewiasta. Ponad łożkiem widać się narodo-wa kielbasa szkocka zwana: "haggis". Napis pod nią głosił: "Takiego świństwa nie jadłem nigdy w życiu".

Zamiast na dworzec kolejowy mr. Leonard pojechał na posterunek policji.

— Dlaczego pan zniszczył najpiękniejszy apartament naszego słynnego hotelu? — zapytano go uprzejmie.

— Powiedziano mi — oświadczył mr. Leonard, — że będę mógł malować cudowne krajobrazy. Przez 21 dni widziałem tylko mgłę. Co miałem robić? Dać się nadal oszukiwać?

Po zapłaceniu czekami "podróżnymi" 295 funtów szterlingów pozwolono p. Leonardowi opuścić Wielką Brytanię.

— Nie patrz się pan — mruknął do sąsiada w samolocie. — Z głową nakrytą kocem zobaczy pan to samo.

* * *

Mr. Bernard Levin zasiadł w studio telewizyjnym BBC do swojej audycji: Oto był tydzień. W studio zebrało się liczne audytorium. Kiedy p. Levin znajdował się u szczytu oracji podszedł do niego mr. Desmond Leslie.

— Stul pysk! — powiedział, pomierając tę mronozycję uderzeniem — szczękę.

Mr. Levin zwał się pod stołem z mikrofonem. Technicy telewizyjni przybiegli mu na ratunek.

— Wyraził się dość uprzejmie o mojej żonie — aktorce, występującej pod pseudonimem Agnes Bernelle — wyjaśnił mr. Desmond kilku milionom Brytyjczyków, patrzących na ekrany telewizyjne.

Pierwszy i zapewne ostatni raz w życiu pożałowałem, że nie stać mnie na kupienie aparatu telewizyjnego.

* * *

Pocieszająca wiadomość z Australii.

Stosunkowo nieliczni emigranci polscy w tym kraju zakupili w przedpłacie 735 egz. książki Lecha Paszkowskiego pt.: "Polacy w Australii i Oceanii." Drugie tyle wysłała do Sydney firma wydawnicza B. Świdorskiego z Londynu. Wszystkie książki sprzedano w krótkim czasie.

Pomyślałem o tym opuszczając po krótkiej wizycie dom tutejszego znajomego "Polaka". W okazałej szafie bibliotecznej zauważyłem same książki anglo-amerykańskie. Sex, mordy, Perry Mason, Agata Christie, wszystko to ukoronowane monumentalnym dziełem pt.: "Lolita". Ani jednej książki polskiej.

— Prenumeruje pan Wiadomości, Kulturę, Przegląd Polski? — zapytałem.

— A po co mi to?

— Jeżeli pan, człowiek bardzo zamożny, z samochodem przed domem, apartamentem luksusowym w Santos, przelewającym się kontem bankowym, dla którego prenumerata jest mucha, nie popiera polskiego wysiłku kulturalnego na emigracji to kto ma to robić? — rzekłem. — Osadnik parański? Górnik australijski?

— Jak ich te pisma i książki interesują to niech za nie płacą — nalał sobie whisky.

Jego te książki i pisma nie interesują. Kurtyna papierowa utkana z dolarów i kruzejrów, odcięła go z własnej i nieprzymuszonej woli nie tylko od Polski, ale od polskości.

— W pańskim stanowisku jedna rzecz jest nielogiczna — powiedziałem.

— Co takiego? — wydał wargi.

— Nazwisko. Powinien je pan zmienić i wszystko będzie klapowało. Nazwisko — powtórzyłem — do wyboru do koloru: Hilon Chilonides, Pereira, Oliveira da Silva, Archibald Jones, Donald Smith. Żona może się nazywać np. Lagosta Carmen Feijoada Completa. Ski, icz — na śmietnik. Razem z tysiącletnią przeszłością.

* * *

Na łamach londyńskich "Wiadomości" toczyła się niedawno ciekawa dyskusja o Białorusinach oraz o pochodzeniu Mickiewicza.

Wobec tego, że pisać dla "Wiadomości" muszę się starać być poważnym, co mi nie łatwo przychodzi, nie zabierałem głosu w tej dyskusji.

Światło reflektora, jak to czuwalniccy zapewne zauważyli, pozwala mi oświetlać żarciki. Niechże wolno mi będzie poniżej dorzucić trzy głośnie do skrzynki braterskiej korespondencji naszych londyńskich literatów.

Mickiewicz? Otóż proszę szanownych państwa ani Białorusin, ani Żmudzin, ani Litwin, ani Mickiewicz. Opowiedział mi to Ignacy Oksza-Grabowski.

A było to tak:

Niejaki Nikodem Czapkiewicz Mazur, zabijaka, poszukiwacz przygód, wywędrował na Litwę i poszedł z Litwinami na Krzyżaków. Dostał się do niewoli.

— Jak się nazywasz? — zapytał Wielki Mistrz.

— Czapkiewicz — odpowiedział Nikodem.

Mistrz kazał światłym w piśmie braci zakonnym przetłumaczyć to nazwis-



Warszawianka prababką królów

Zadziwiająca to historia: prawnukowie mieszczyki warszawskiej zasiedli na królewskich tronach. Mieszczką tą jest Julia Hauke, córka gen. Maurycygo Haukego, a wnuczka znanego warszawskiego lekarza Franciszka Leopolda Lafontaine'a. Urodziła się 12 października 1825 r. w Warszawie, gdzie jej ojciec generał Maurycy Hauke pełnił funkcję ministra wojny Królestwa Polskiego. Został zabity kulami podchorążych w pamiętną noc wybuchu powstania, 29 listopada

Reflektorem...

Dok. ze str. 9

ko na język niemiecki.

— Czapka — oświadczyli — znaczy po niemiecku Mütze, "icz" może pozostać. Nie Czapkiewicz ale Mitzkiewicz zwie się ten poganin.

Nikodem szczęśliwie powrócił na Litwę. Nie kto inny ale on właśnie dał początek rodowi Mickiewiczów.

Jeżeli ten wnikliwy, głęboko genealogiczny wywód, nie potrafi zakończyć sporu nic na to nie poradzę.

* * *

Czytając przy niedzieli zapiski Beniamina Franklina z ubiegłego stulecia znalazłem taką sentencję:

"Istnieją trzy sposoby zrobienia pieniędzy: pierwszy to wojna, a co za tym idzie rabunek cudzego mienia, drugi to handel, czyli po prostu oszustwo, trzeci i jedynie uczciwy sposób dojścia do fortuny — to rolnictwo".

Hm...

Miałem w poznańskim sąsiada, którego przezwano Byk-boy. Był to stary kawaler. Nie żenił się twierdząc, że żona za dużo kosztuje. Otwierając kasę ogniotrwałą obejmował rozmówczym spojrzaniem paczki banknotów.

— To moje dzieci — mruczał.

Na polowaniu kiedy strzelający w kotle do zajęty gości pudłowali wołał:

— Panowie, strzelajcie na miłość Boską celnie! Towar ucieka.

Trzeba wiedzieć, że zajęce miały dobrą cenę w Poznaniu.

Kiedyś kupiłem u niego dwa woły "na wagę". Przed zważeniem tak je napchał wywarem z gorzelnii, że po dojściu do mojej obory dostały kolki i zdechły.

— Co pan stawia na pierwszym miejscu — zapytałem go po tym wypadku — honor czy pieniądze?

— Co za głupie pytanie — odpowiedział bez namysłu. — Naturalnie, że pieniądze.

Zaskarżyłem drania do sądu. Sprawę przegrałem. Sędzia poinformował mnie, że miałem oczy kupując woły.

Zdaje się, że Benjamin Franklin przeholował nieco w swojej opinii o rolnikach.

HENRYK PRZYBOROWSKI

1830 r. W niecały rok po nim zmarła jego żona Zofia z domu Lafontaine. Dzieci mieli państwo Hauke aż jedenascioro. Małą Julię zaopiekował się dwór carski w Petersburgu. Wychowano ją w Instytucie Smolnym, a gdy skończyła lat piętnaście została frejliną dworu żony następcy tronu cesarzewicza Aleksandra — księżniczki Marii Heskiej. Jej brat, książę Aleksander Heski, generał w służbie rosyjskiej, zakochał się w pięknej frejlinie dworu swojej siostry. Odrzucił rękę wielkiej księżnej Katarzyny, bratanicy cara, z którą go swatano i nie zważając na wszelkie opory książę Aleksander Heski opuścił wraz z Julią Hauke, Petersburg. Nie powstrzymała go nawet jawna niełaska cara, który polecił księcia Aleksandra Heskiego skreślić z listy oficerów rosyjskich. W dniu 28 października 1851 r. zawarł z hr. Julią Hauke w Darmstadt w stolicy księstwa Heskiego, morganatyczny związek małżeński. Panujący w Hesji książę Ludwik III, najstarszy brat Aleksandra Heskiego, choć w zasadzie związkowi temu również przeciwny, nadał swojej nowej bratowej tytuł hrabiny Battenberg. Dla nowożeńców pary (on liczył lat 28, ona lat 26), rozpoczął się ciężki okres. Nie na różach były ułane pierwsze ich lata małżeńskie. Majątku nie posiadali, żyli na łasce panującego księcia. Mimo prośby rosyjskiego następcy tronu, który wstawia się za swoim szwagrem, książę Ludwik III nie powierza bratu dowództwa nad armią heską. Również cesarz Franciszek Józef odmawia przyjęcia do służby austriackiej generała skreślonego z listy oficerów rosyjskich. I chociaż później książę Aleksander stopniowo wraca do łaski, będzie się jeszcze przez długie lata skarżył na afronty robione małżonce.

Sytuacja uległa widocznej poprawie, gdy jego szwagier zasiadł na tronie jako car Aleksander II. Darząc brata swojej żony przyjaźnią używał go jako mediatora w różnych sprawach wielkiej polityki.



Na Wawelu otwarto wielką wystawę zbroi rycerskiej.

Aleksander i Julia mieli pięcioro dzieci, pierworodną córkę i czterech synów. Urodzeni w małżeństwie morganatycznym nosili nazwisko książąt Battenberg. Największą z nich karierę życiową zrobili najstarszy syn Ludwik, urodzony w 1854 r., oraz trzeci syn z rzędu Henryk. Ludwik ożenił się z księżniczką Wiktorią Heską, wnuczką królowej angielskiej Wiktorii, Henryk zaś z najmłodszą córką królowej Wiktorii, księżniczką Beatrycze. Królową Wiktorię nazywano matką i babką królów; obydwaj książęta Battenberg mieli otwartą drogę do godności i stanowisk. Ludwik Battenberg został w Anglii pierwszym lordem admiralicji, nazwisko zmienił na Mountbatten. Jego najmłodszy syn lord Ludwik Mountbatten był w latach 1947-48 ostatnim wicekrólem Anglii w Indiach. Wnukiem Ludwika Battenberga, jest książę Filip Edinburga syn jego córki Wiktorii Alicji i Andrzeja księcia Grecji. Książę Filip Edinburg jest mężem królowej angielskiej Elżbiety, czyli, że ich syn, obecny następca tronu angielskiego Karol jest prawnukiem Julii Hauke. Podobnie wysokie koligacje mają dzieci trzeciego syna Julii Hauke księcia Henryka Battenberga. M. i. jego córka Wiktoria Eugenia była żoną króla Hiszpanii Alfonsa XIII. Najgłośniejszym w dziejach był jednakże drugi syn Julii Hauke, książę Aleksander. Po kreowaniu państwa bułgarskiego był pierwszym panującym księciem bułgarskim w latach 1879 - 1886 r. Zaręczony był z księżniczką Wiktorią Hohenzollern, siostrą cesarza Wilhelma II. Małżeństwo ich udaremnił kanclerz Bismarck, który księcia Aleksandra Battenberga nazywał pogardliwie "Pollack"! Książę Aleksander po abdykacji z tronu bułgarskiego przyjął nazwisko hr. Hartenau i ożenił się z piękną diwą operową Johanną Loizinger. Najmłodszy syn Julii Battenberg, książę Franciszek Józef, ożenił się z Anną, księżniczką Czarnogórską, rodzoną siostrą królowej włoskiej Heleny, żony Wiktora Emanuela.

Pisząc o Julii Hauke nie można pominąć jej o dziewięć lat starszej siostry Zofii, która całe życie spędziła w Warszawie. Była znaną swego czasu autorką książek dla dzieci, między innymi "Abecadła z obrazkami dla Zygmunia" oraz "Teatru dla dzieci". Poślubiła swego stryjcznego brata Aleksandra Haukego, najpierw naczelnika straży pożarnej w Warszawie, następnie generała i prezesa teatrów warszawskich. Syn ich Aleksander poległ w Powstaniu Styczniowym 1863 r. Stryjcznym bratem Julii Hauke był sławny generał Józef Hauke — Bosak, jeden z najzdolniejszych dowódców w powstaniu 1863 r. W wojnie francusko-pruskiej walczył przeciwko najeźdźczym armiom niemieckim dowodził pierwszą brygadą w partyzanckiej armii wozekkiej Garibaldi. Poległ od kuli pruskiej 21 stycznia 1871 r. w pobliżu Dijon. Julia Hauke - Battenberg zmarła 18 września 1895 r. w Rzymie.

STANISŁAW SZENIC

RIWIERA PO ÓWIERĆ WIEKU

(Korespondencja własna "Przeglądu Polskiego").

Współczesny rozwój lotnictwa sprawił, że można powiedzieć bez przesady, iż Atlantyk przebywa się jednym skokiem. Wystarczy kilkanaście godzin lotu, aby z kontynentu południowo-amerykańskiego znaleźć się w jakimkolwiek punkcie Europy. W moim wypadku wylądowałem i spędziłem kilka tygodni w najbardziej, z wielu względów, interesującej części tego starego kontynentu: na wybrzeżach morza Śródziemnego, którego najpiękniejszym punktem jest Riwiera.

W naszych czasach świat zmienia się szybko, zmienia się w oczach. Toteż dla kogoś, kto nie był na Riwierze 25 lat, jak ja, wrażenie zmian jest oczywiste, choć szczególnie ograniczone. Ten sam błękit morza, to samo słońce, błyszczące słońce, ale bez tego piekielnego żaru, tak dobrze znanego wszystkim, którzy mieszkali blisko równika, — wreszcie krajobraz, linia wzgórz wzdłuż brzegów morza, widok na dalekie, ośnieżone Alpy — wszystko to pozostało bez zmiany. Zmieniło się wiele rzeczy, do których człowiek przykłada rękę, ale widzi się, iż robi wszystko, aby tej pięknej harmonii natury, tak oczywiście nie zepsuć, a przynajmniej stara się o to. W dalszym ciągu, poza lokalnym, nie ma tu przemysłu. Rozwój gospodarczy i wzrost ludności sprawiają, że jest parcie na odpowiednie czynniki, aby i do tego zakątka piękna dotarły maszyny i to wszystko, co idzie za przemysłem. Mówi się już nawet, że dolina rzeki Var, przepływającej i wpadającej do morza blisko Nicei, byłaby odpowiednia, aby ukryć w niej zakłady przemysłowe, nie naruszając estetyki całości. Ale chyba we Francji dość jest jeszcze miejsca, aby oddać ten projekt na jedno lub dwa pokolenia. Kiedyś na pewno do tego dojdzie — coraz ciśnieć robi się na ziemi.

Zmiany uderzają najbardziej, gdy porównać zabudowanie ścisłej Riwieri to jest samego wybrzeża, teraz i przed ćwierćwiekiem. Wtedy miastami były tylko Nicea i Monte Carlo — miastami o rządach mniej lub więcej odrazać brzydkich kamienic, typowym miejskim tłumem i wszelkimi innymi cechami wielkiego zbiorowiska ludzkiego. Teraz i takie miejscowości jak Beaulieu, Juan-les-Pins, Cannes straciły swój charakter miejscowości wypoczynkowych i stały się miastami.

Beaulieu przed 25 laty było miejscowością, która uzasadniała swój "nomen - omen" (Beaulieu - piękne miejsce). Położone między Monaco i Nicea, w najcieplejszej części Riwieri, miało charakter willowy. Kiluminutowa przechadzka doprowadzała wówczas do niezabudowanych brzegów morza, nawet do jakiegoś osiedla rybackiego. Dziś wszystko to zastąpiły gmachy mieszkalne, tym tylko różniące się od "conjuntos" w Guarujá lub São Vicente, że mają sześć lub siedem pięter zamiast piętnastu. Tak samo zmieniło się Juan-les-Pins, gdzie linia brzegowa przedstawia się obecnie, jako jedna linia kamienic. Tak samo Cannes — w ogóle, gdy spojrzeć z morza na wybrzeże, to widać prawie nieprzerwaną linię budynków, a dopiero na wzgórzach, zwykle wznoszących się do góry tuż od brzegu — rozrzucone wille i pałacyki.

Taki obraz zaczyna się od Monaco. W tym kieszonkowego wymiaru księstwie

panuje lepszy porządek, niż upamiętnił mi się sprzed lat. Wówczas kasyno i pałac książęcy były jakieś odrapane — teraz wszystko jest doczyszczane, odświeżone i odmalowane — wspaniałe trawniki i kwietniki — nawet palmy wydają się jakby przyszyte czy ufryzowane.

Jak wiadomo, obecną księżną Monaco jest Amerykanka, była gwiazda filmowa, Grace Kelly. Sądząc z fotografii i z tego co pisze o niej od czasu do czasu prasa, ma ona charakter — może więc istotnie wpływa na losy tego dziedzicznego i suwerennego państwa o imponującej powierzchni 1½ km². Ciekawe jak Grace Kelly naprawdę czuje się w tej swojej nowej roli. Przypominam sobie jej grę doskonałą w jakimś filmie, którego tytuł dawno wyleciał z pamięci. Grała rolę narzeczonej następcy tronu — teraz to dla niej chyba dalszy ciąg tego filmu. Tylko, że zamiast wielkiego państwa w filmie, ma księstwo, które zresztą też robi wrażenie filmowe. Tak przynajmniej wydaje się, gdy stanąć przed pałacem i ratrzeć na gwardzystów, pełniących wartę. W mundurach jaskrawo czerwonych z białymi getrami i lampasami (narodowe kolory Monaco są takie same jak nasze: biało-czerwone), odmierzają z powagą równe kroki od punktu do punktu. Gdyby jeszcze więcej sobie przytupywali i mieli futrzane czapy na głowie — co prawda to nie bardzo możliwe w tutejszym słońcu — to można by myśleć, że jest się przed pałacem Buckingham w Londynie. Pod względem tych zewnętrznych obawów suwerenności nie ma wielkiej różnicy między królową Elżbietą i Grace Kelly.

Czy to Monte Carlo czy w Nicei czy gdzieindziej ruch aut i pieszych niemożliwie wielki. I to na wiosnę, poza sezonem: co będzie się działo w sezonie — lipcu sierpniu — trudno to sobie wyobrazić. Do pewnego stopnia można sobie wyobrazić, obserwując Cannes, które właśnie w maju ma swój doroczny Festiwal Filmowy. Festiwal powoduje przepełnienie eleganckich dzielnic Cannes, całe szpalty w miejscowych dziennikach, poświęcone każdemu mrugnieniu okiem wielkiej gwiazdy, ale dla obserwatora z ulicy nie daje wiele sensacji. Gwiazdy filmowe są równie trudne do zobaczenia, jak gwiazdy na niebie w dzień. Widzi się natomiast "gwiazdki". Typowym zjawiskiem Festiwalu są młode adeptki filmu, przybywające tutaj w nadziei, że potrafią zatrzymać na sobie oko jakiegoś mniej lub więcej wszechmogącego reżysera. W tym celu przesiadują po kawiarniach, w czym do złudzenia przypomina przedstawicielki innego zawodu, dużo bardziej starożytnego, niż filmowy, zawodu zresztą nie bardzo szanowanego, chyba przez starożytnych Greków i twórców filmu: "Nigdy w niedziele".

Dawnym bywalcom Riwieri może wydać się dziwne, gdy mówi się o sezonie w lipcu i sierpniu — w miesiącach najgorętszych. Niegdyś najelegantszym był sezon zimowy, gdy bogaci ludzie z zimniejszych krajów Europy, przede wszystkim Anglicy, ciągnęli do słońca. I to jest znowu duża zmiana na Riwierze. Miejscowi twierdzą, że sezon zimowy umarł. Młodzi jeżdżą na sporty zimowe w góry, a starsi lecą jeszcze dalej na południe, gdzie nie ma w ogóle europejskiej

zimy. Ale nastąpiła demokratyzacja turystyki — jak i innych dziedzin życia społecznego — i pojawił się wspomniany sezon letni. W międzynarodowym tłumie turystów Anglicy nadal liczą się uczestniczą. Tradycja Riwieri jest w Wielkiej Brytanii bardzo dawna — to oni "odkryli" Riwierę jeszcze w XVIII wieku. W Nicei nadal główna arteria nadmorska nazywa się Promenade des Anglais, która obecnie przedłużona, aż do lotniska u ujścia rzeki Var ciągnie się nieprzerwanie prawie 10 km. Nazwa ta nie była nadana z powodu jakiejś specjalnej sympatii dla Anglików: tej we Francji trudno byłoby doszukać się czy to za Joanny d'Arc czy za generała de Gaulle czy w międzyczasie. Nazwa była nadana, bo istotnie Anglicy zapoczątkowali w Nicei i Cannes przemysł turystyczny, który dziś daje utrzymanie dziesiątkom tysięcy ludzi i czyni z departamentu Alpes Maritimes, obejmującego Riwierę, jeden z najbogatszych departamentów Francji. Najbogatszych i najdroższych można dodać jednym tchem.

Co uderza przybyśza, a szczególnie przybyśza z takiego kraju, jak Brazylia, to poziom życia, nie tylko tych uprzywilejowanych, ale i reszty. Nie tylko nie widzi się żebraków i bezrobotnych, ale na Riwierze i w miasteczkach, ciągnących do niej, wszyscy wydają się syści i zadowoleni z życia. Miasteczka te mają specjalny charakter. Aż do XVIII wieku Riwiera była lupiną przez różnych najeźdźców, miasteczka budowano przyczepione do niedostępnych skał (villages perchés) i do dziś dnia zachowały one swój odrębny, średniowieczny charakter. Raz zaszedłem do sklepu żywnościowego w takim miasteczku, a właściwie wiosce o 700 mieszkańców. Z zewnątrz był to zapuszczony budynek, pewno nie wyglądał lepiej, gdy był nowy w XII lub XIV wieku. Ale w sklepie był wybór serów, wędlin i innych wiktualii, których nie nowszydziłby się sklep na Rua Augusta w São Paulo, gdzie nie ma klientów z warstw średnich, nie mówiąc już o robotniczych. Wiadomo, że Francuzi ze wszystkich warstw społecznych "kochają jeść", ale widać, że i mają za co.

Być może, że dobrobyt na Riwierze jest wyższy niż przeciętnie we Francji, ale wiadomo, że w Zachodniej Europie panuje od kilku lat dobra koniunktura gospodarcza. Przyczynia się do tego waleń Europejska Wspólnota Gospodarcza — porozumienie 6 państw, między nimi Francji co do wspólnej polityki gospodarczej i zwiększenia wzajemnego handlu przez obniżanie cel.

Tak czy owak ogrodnik na Riwierze zarabia w przeliczeniu do 6 dolarów dziennie, co dla robotnika brazylijskiego jest nieosiągalnym marzeniem. Oczywiście, koszty utrzymania, w szczególności żywności są we Francji co najmniej dwa razy wyższe, ale i tak, przeliczając zarobki z tą poprawką, łatwo obliczyć, że efektywne zarobki robotnicze są tu 2½ razy wyższe, a tym samym i stopa życiowa — niż w Brazylii. Ma to oczywiście daleko posunięte znaczenie społeczne. Luksusowe auto na przedmieściach miasta brazylijskiego, to jakby żywy obraz z ksiąg Karola Marxa. Tutaj nie brak luksusowych aut, ale na tle ogólnego względnego dobrobytu nie rażą i nie wzbudzają bardzo zawiści klasowej.

Wybrałem na przykład zarobki ogrodnika, bo to jest tutaj jeden z najpopularniejszych zawodów. Kwiaty i esencje kwiatowe na perfumy są taką samą specjalnością Riwieri, jak turyści. Naokoło

widzi się setki wielkich szklarni. Hodowla kwiatów i wczesnych warzyw musi być dobrym interesem, ale powinno być nim również szklarstwo. Co się dzieje, gdy przejdzie dobra burza gradowa? Miejscowi mówią, że gdy pokażą się czarne chmury gradowe każdy wyciąga jakąś strzelbę, cokolwiek jest w arsenale domowym i zaczyna się ogólna kanonada do chmur. I to pomaga — podobno.

Broni nie brak, bo poza jedzeniem namiętnością Francuzów jest polowanie, przy czym nie gardzi się żadną zwierzyzną. Już Alphonse Daudet ośmieszył w swoim *Tartarin*ie południowych Francuzów i ich polowanie. Coś podobnego wyczytałem w angielskim przewodniku po Riwierze, którego autor pisze mniej więcej tak: "W odróżnieniu od Anglii, nie usłyszycie na przechadzkach, śpiewających ptaków. Nie ma ich! Francuzi strzelają do wszystkiego co fruwa. Ptaki śpiewające znajdziecie w sprzedaży na rynku. Można z nich przygotować wcale dobre dania".

Zdaje mi się, że to przesada, albo, że tradycje myśliwskie francuskie upadają. Mieszkaliśmy w mieście - ogrodzie, słyszałem kukulkę, słowiki i wiele ptaków śpiewających. Raz nawet na przechadzce spotkałem o dziwo! grubą zwierzynę według norm francuskich: prawdziwego zająca.

Wspominałem miasta-ogrody. Koszt i trudność nabycia terenów na samym wybrzeżu sprawiają, że osiedla zaczynają się przesuwac w głąb lądu, tymbar-dziej, że przy motoryzacji mieszkanie o 10 km od morza czyni je niewiele mniej dostępnym, niż gdy się mieszka na Proménade des Anglais. Na północ od Nicei, w kierunku starożytnych miasteczek, jak Vence lub Saint Paul (imiennik brazylijskiego São Paulo, tyle tylko, że cała ludność Saint Paul mogłaby od bieddy pomieścić w jednym drapaczu w São Paulo) — powstaje jedno miasto-ogród. Na miejscu opuszczonych winnic i ferm zjawiają się na przestrzeni całych kilometrów wille i ogrody. W tym rejonie przyczyniła się do rozbudowy wielka firma amerykańska IBM (International Business Machines), wielki koncern międzynarodowy, produkujący wszelkie maszyny biurowe, do skomplikowanych wielkich "Computers" włącznie. Nota bene oddział tej firmy w Brazylii jest prowadzony przez Polaków. IBM dla swoich oddziałów europejskich utworzyło wspólne biuro studiów i badań (Centre d'Études et de Recherches) i umieściło je na Riwierze. W okolicach Nicei wybudowano piękny gmach, który ze względu na nowoczesność architektury nadawałby się nawet do nowej stolicy Brasilia. Pracuje tam czterystu ludzi — 400 osób tylko w centrum studiów i tylko w Europie — daje to pojęcie o ogromie tej organizacji.

Ciekawe dlaczego wybrano Riwierę na miejsce badań — ostatecznie organizacja prywatno-przemysłowa nie może się kierować względami przyjemności pracowników. A może uważano, że mózgi twórcze będą lepiej pracować nad morzem Śródziemnym? Coś w tym może być, bo przecież w basenie morza Śródziemnego powstała cała cywilizacja zachodnia.

Tak czy inaczej tych czterystu nowoprzybyłych zapełniło okoliczne osady i buduje sobie naokoło wille i domy. A to jest tylko jeden przykład. Napływ na Riwierę jest nieprzerwany. Ktoś kto odwiedzi Riwierę dziś i po następnych 25 latach, dozna tego wrażenia co ja obecnie. Na miejscu wille będą kamienie, a wille zaczną się wdrapywać na stoki przedalpejskich gór. Dziś jeszcze wyglądają one niedostępnie i trudnościami bu-

TATERNICKIE OSTROGI

(Dalszy ciąg z nr. 29)

Obudził mnie świst wiatru. Szyby były prawie całkowicie oklejone śniegiem, a poprzez pozostałe maleńkie otworki, przez które sączyło się do pokoju niki światło, widać było szalejącą zadymkę.

— Widzisz jak to dobrze nie trzymać się głupich taternickich przesadów — cdezwał się z sąsiedniego łóżka Witek. — Ładnie wyglądalibyśmy wchodząc wczoraj w ścianę.

Tak, wejście wbrew zdrowemu rozsądkowi w niepogodę to było nasze szczęście. Wszystko przemawiało za tym, aby rozpocząć wspinaczkę dzień później. Nie wiedzieliśmy, że dzisiaj, kiedy leżeliśmy wygodnie w łóżku, Staszek Siedlecki i Czesław Łapiński, gospodarz schroniska przy Morskim Oku, zmagali się ze śmiercią na zboczu Ganku. Wyszli w pogodny dzień, potem, rozpetala się burza śnieżna. Tej nocy właśnie, gdy my tu spaliliśmy, oni walczyli z lawinami, które przewalały się przez olbrzymią ścianę zasypując i dusząc ich wielokrotnie. Z najwyższym wysiłkiem i ryzykiem zdołali się uratować i zejść do Roztoki po blisko 40 godzinach przebijania się przez zwały śniegu.

Przygotowania do powrotu do Polski trwały krótko. Spakowaliśmy skromny debiutek, zjedli resztę zapasów, a ponieważ wydawało się, że śniadanie było zbyt skromne resztę podgrzanego tłuszczu z puszki "Pork and Sausage" wypiliśmy duszkiem. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać.

— Jak się czujesz? — zapytałem Witka w pobliżu Żabich Stawków Miękusowickich.

— Fatalnie! — odparł.

Niezależnie od tego, że szliśmy po świeżym, zapadającym się, lawiniastym śniegu, męczać się solidnie, każdy z nas odczuwał nudności i zawroty głowy. Nie można było sobie znaleźć miejsca, złe było iść, złe stać lub siedzieć. "Pork and Sausage" wspominał się co chwile. Noga za nogą posuwaliśmy się w górę znacząc świeży ślad licznymi przystankami. Przy progu nad Żabimi Stawami Białczanskimi obaj, porządnie już wycieńczeni dolegliwościami żołądkowymi, odbyliśmy ważną naradę co do dalszej drogi, która z powodu niezwykle silnej lawiniastości była dziś niebezpieczna.

Pójście letnią ścieżką byłoby szaleństwem, wybraliśmy więc trawers wysoko pod skałkami, co dawało możliwość ubezpieczenia się z haków.

Ostrożnie wszedłem na wielkie pole śnieżne tuż popod skalną ścianą, gdy nagle usłyszałem głucho pach!..., charakterystyczne, jak kłasnienie urywającej się deski śnieżnej i w tej chwili zarysowała się na mojej wysokości przebiegająca przez buty linia pęknięcia śniegu, która się błyskawicznie rozerwała. Podcięło mi nogi, cały stół śnieżny znalazł się w ruchu, marszcząc gwałtownie swoją powierzchnię. Rosło z sekundy na sekundę dudnienie przewalającego się śniegu. Całym ciężarem ciała rzuciłem się na czekan, tkwiący jeszcze nad obrywem śnieżnej deski. Utrzymał!

Z zapartym oddechem śledziłem roz-

dowy chronią swoją samotność, ale ostatecznie ludzie będą musieli się gdzieś pomieścić — nic nie wskazuje, aby zaludnianie, a raczej przeludnianie naszego globu miało stracić swe obecne zawrotne tempo.

A. GAWAR.

wój lawiny. Nic nam już nie groziło, tym nie mniej wrażenie było ogromne. Doczekaliśmy końca widowiska zanim postawiło się następny krok w stronę Utni pod Rysami gdzie czekał nas ostatni w tym sezonie nocleg w górach.

Upalne słońce, które zalało następnego ranka całe Tatry rozpętało istne piekło. Zanim opuściliśmy schronisko przez jego grube mury dochodziły nas odgłosy snadających lawin. Mimo ryzyka chcieliśmy dziś, w Wielką Sobotę, wracać do Zakopanego zwłaszcza, że żywność całkowicie się skończyła, a w święta poza własnymi nogami nie było żadnego innego środka lokomocji z Morskiego Oka do Zakopanego.

Ścisłe trzymając się grani wyszliśmy na Rysy. Rozświetlone góry po świeżym opadzie były urzekająco piękne. Słońce mieniło się kolorami tęczy na fontannach zsympujących się zewsząd pyłówek, które napelniały powietrze dźwiękiem nieczym orkiestra. W ich rytm wpadały potężne łoskoty wielkich lawin śnieżnych i gruntowych, które echo roznosiło daleko w przestrzeń. Przy takiej muzyce, we wspaniałej scenarii schodziliśmy grzędą Rysów na polską stronę. Niestety, grzęda wtapiała się w olbrzymi stół lawinowy, a potem w wielką śnieżną rynnę wyprowadzającą na Czarny Staw.

Gdy Witek stawiał pierwszy krok na pole ubezpieczalem go z grzędy na linie. Niczym była wczorajsza lawina wobec tego z czym pojechał mój partner teraz, a raczej co rozpetał dotknawszy zaledwie świeżego śniegu. Po lawinisku zbiegliśmy związani liną do buli nad rynną.

Nad nami wisiały ciągle podcięte ostatnią deską wielkie pola śnieżne i czekały na swoją kolej. Oglądaliśmy się podczas biegu z obawą poza siebie. Jeszcze nie przeleciały. Uf!... pulsowało w skroniach ze zmęczenia. W rynnie to samo. Pierwszy krok i znowu blok zbitego śniegu o objętości kilkudziesięciu metrów sześciennych każda zwałały się na Czarny Staw.

Dobiegaliśmy już do stawu po niewygodnych, zbitych bulach śnieżnych, gdy zorientowałem się, że odległość między nami zwiększyła się dziwnie. Oglądając się stwierdziłem ze zdziwieniem, że nie ma liny, odwiała się podczas biegu. Witek do dziś dnia nie może mi tego darować mówiąc, że to największa kompromitacja jaka może się zdarzyć taternikowi.

Jeszcze ostatnie emocje zejścia na Morskie Oko, bo prowokowanie lawin, aby zejść na nic się nie zdało i lawirując między drzewami znaleźliśmy się na stawie. Potem schronisko. Złożyliśmy życzenia świąteczne, odebraliśmy gratulacje i dalej autobusem do Zakopanego.

Z zażenowaniem siadaliśmy do świątecznego, wytwornego stołu. Przy eleganckich gościach wili "Kwiat Paproci" wyglądaliśmy w podartych spodniach, z odmrożonymi i porozbijanymi młotkiem palcami, gorzej, niż skromnie. Nie mniej czuliśmy się jak triumfatorzy. Wieść o zdobyciu północnej ściany Wsokiej rozeszła się w sferach taternickich po Zakopanem bardzo szybko. Rozpierała nas radość. Przejsie trudnej drogi było wartościowe, przeżyliśmy piękną przygodę i zdobyliśmy taternickie ostrogi. Droga w Alpy stała przed nami otworem.

JERZY PIOTROWSKI

Feliks Topolski

Mieszka pod mostem, a jest — nadwornym malarzem męża pewnej monarchini, którego prababka latami dreptała po ulicach Warszawy. Ten wychowanek warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych stał się świetnym portrecistą najwybitniejszych matadorów angielskiej literatury.

Bardzo czasem dziwne zdarzają się w życiu wypadki i paradoksy.

Już w tej Akademii rokowano panu Feliksowi błyszczącą przyszłość. Sam także nigdy nie wątpił o sobie. Poznałem go w redakcji "Cyfrylika Warszawskiego", gdzie bardzo jeszcze młodziutki objął lutnię po Bekwarku — Czernańskim. I oto pewnego wiosennego dnia 1934 roku powiedział sobie Topolski: "Jeżeli się tamtemu tak wybornie udało, to niby czemu mam być gorszy od Czernańskiego".

Nie łatwo jest obcokrajowcowi skruszyć okopy św. Trójcy takich miast jak Paryż, Londyn, Nowy York. Iluż to polskich artystów próbowało przed nimi tego bezskutecznie: chociaż prawdę mówiąc byli i tacy, którym się powiedziało: Michałowski, Matejko, Szermentowski (Józef). Nawet takiemu, pożałuj Boże, Styce... No więc, strachy na Lachy, i Topolskiemu odwagi nie zabrakło.

Odwalił już wojsko (30 pułk artylerii), pielesze domowe z ich zawiściami i intrygami zbrzydły mu okropnie. Strach pomyśleć, co by się z nim stać u nas mogło w późniejszych czasach. Choćby za przykład wziąć jego ukochanego profesora, "grubasa" Pruszkowskiego. Znałem profesora i bywałem w jego mieszkaniu przy ul. Lwowskiej 11. Bywałem tam z świetnym architektem Leszkiem Raczynskim, który mieszkał w tym samym domu, co Pruszkowski, tylko że od frontu. I cóż? Pewnej krwawej nocy wdario się do ich mieszkań gestapo i obu teje nocy rozstrzelano.

Ale widzi pan, panie Feliksie! Chciałem o panu kilka słów przyjaznych, pogodnych. A nie można. Zaraz się wpada w jakiś tragizm. Taki już polski los widocznie i tak już musi zostać. Historii, takiej historii nie wykreśli się z pamięci w żaden sposób.

Więc na koniec przypomnę jeszcze te ostatnie chwile Pańskiego odjazdu. Fatalnie kruch było z gotówką, więc postanowił Pan na odjeździe machnąć trochę portretów — karykatur. Namoty rozbił Pan w ślicznym i zasłużonym Salonie Garlińskiego przy ul.

Mazowieckiej. Jakoś się Panu przypadkiem napatoczyłem.

— Panie Eugeniuszu, chodźże Pan, na pożegnanie odrysuj pańską fizys. Na pamiątkę. Nosilem się zawsze górną, to prawda. Ale portfel był zawsze chudy i wklęsły jak brzuch derwisza.

Witkacemu, który był kolekcjonerem, darowałem za portret, stary parasol Asnyka i list lorda Alfreda Douglasa do mnie. Był uszczęśliwiony. Bałem się, że Topolski — sława też wysoko zaśpiewa, a ja już nawet parasolki Marii Konopnickiej nie posiadałem. Cóż zresztą Topolskiemu po parasolce w Londynie? Do Tuły nie jeździ się z samowarem.

Ale, że właśnie derwisz warszawski zaczął kompletować (o, paradoksy polski!) swoją sławną później galerię, pomyślałem sobie,

że w tych zbiorach i Feliks Topolski nie zawadzi.

Zgodziliśmy się bez słowa, a on wiedział, że w żaden sposób więcej ode mnie nie wydusi.

Machnął karykaturę (ze złości zapewne piekielnie zjadliwą) w jakiś kwadrans, czy w pół godziny. Robota była świetna, ale fizys odpychająca.

— Bul Pan piętnaście złociszów — mruknął malarz. — Jutro wyjeżdżam do Londynu.

Wybulilem. I już z portretem pod pachą powlokłem się do domu. Bo nawet na pół czarnej by nie starczyło.

Dziwnym trafem obraz ocalał. Gdybym był wielkim megalomanem, ryknąłbym dzisiaj, że to moich 15 złociszów przyczyniło się do jego sławy.

Ale cóż, żebym ryczał nawet jak balaamowa oślica na pustyni i tak przecież nikt nie uwierzy.

EUGENIUSZ SZERMENTOWSKI

Wspomnienia suflera Philippa

— Jest pan suflerem. Pomaga pan ludzkiej pamięci, która jest zawodna. W styczniu 1963 r. Teatr Polski w Warszawie skończył pół wieku. Jednocześnie pan obchodził 50-lecie pracy w tym teatrze.

Proszę nam opowiedzieć o swoich wspomnieniach...

— Trudna sprawa — mówi Henryk Philipp, występujący na co dzień pod pseudonimem Filipowicz. — Tyle lat... Radości i kłopoty. Setki twarzy. setki premier, miliony słów. Od czego zacząć? Może od pewnej fotografii... Jest to pamiątkowe zdjęcie, które leży w naszym archiwum. Zrobiono je w roku 1913 w malarni teatralnej. Można na nim oglądać cały ówczesny zespół Teatru Polskiego. Z osób, widocznych na zdjęciu, zostały się tylko cztery. Arnold Szyfman, który jest honorowym dyrektorem Teatru Polskiego i kończy właśnie budować Teatr Wielki Opery i Baletu w Warszawie, aktorka Seweryna Bronisłówna, do dziś występująca w zespole, starszy elektrotechnik Materko i ja. Fotografia została wykonana tuż po narodzinach teatru. O tych narodzinach można opowiadać długimi godzinami. Jak to nikt nie wierzył, że nowy, wielki teatr, na który rząd carski patrzył nieprzychylnym okiem, da sobie radę. Jak go szkanowała prasa prorsadowa i władze finansowe. A — z drugiej strony — z jakim zapalem najlepsi polscy artyści poparli nową placówkę. Próby do pierwszej premiery "Irydionu" Zygmunta Krasńskiego odbywały się w niewykończonym jeszcze gmachu. Niebo prześwitowało nad sceną. Śnieg prószył na głowy aktorów. A z jaką radością przyjęty został teatr przez warszawskich widzów! Bo też był to teatr, jakiego stolica dotąd nie widziała. Jedyna w Polsce obrotowa scena. Nowoczesne oświetlenie. Wspaniali artyści — Przybyłko — Potocka, Zelwerowicz, obaj Węgrzynowie, Leszczyński... Najlepsi reżyserzy — Szyfman, Schiller, Osterwa. Znakomici scenografowie — Drabik, Frycz. A repertuar: najniekiesze, patriotyczne sztuki polskich poetów i pisarzy i wielkie dzieła klasyczne. Mickiewicz i Szekspir, Słowacki i Musset, Fredro i Moliere.

Zatary mi się już w pamięci — mówi stary sufler — pierwsze przedstawienia. Ale nie zapomnę na przykład pięknych dekoracji i oświetlenia w sztuce "Nowe Ateny" Nowaczyńskiego. Powstało na scenie w pewnym momencie takie złudzenie poranku, że gołębie, trzymane w sznurowni, zaczęły — jakby przebudzone — sfruwać na scenę. Wryło mi

się także w pamięć przyjęcie, jakie zgotowała publiczność sztuce "Krakowiacy i górale" Bogusławskiego. Jest tam kilka kupletów o treści patriotycznej, które w tamtym okresie naszej historii wywoływały na widowni ogromną aprobatę. Władze carskie zakazały więc śpiewania kupletów, ale na szczęście nie zabroniły muzyki. Wobec tego, podczas następnych przedstawień, orkiestra grała melodie kupletów, a aktorzy demonstracyjnie milczeli, stojąc nieruchomo na scenie. Publiczność, rozumiejąc o co chodzi, urządziła barzliwe owacje, jeszcze gorętsze, niż poprzednio. Długo mógłbym wspominać wspinających aktorów, których miałem szczęście poznać. Ja też chciałem być aktorem. Ale doszedłem do wniosku, że jako sufler lepiej zasłużyć się scenie. Tym bardziej podziwiałem artystów, którym los nie poskąpił talentu. Cóż to byli za wspaniali ludzie: Jerzy Leszczyński, Jaracz — który przyszedł do nas później — albo Kamiński, tytan pracy, który już na pierwszą próbę przychodził z wyuczoną rolą. Kamiński napędził mi raz nie małego stracha. Pewnego dnia podczas przedstawienia publiczność nieustannie kaszała. Karcińskiego to rozniewało i parę razy wyraźnie uciszał słuchaczy wzrokiem. Gdy to nie pomogło — powiedział do partnera: — "przerwiemy, niech się wykaszla" — i usiadł na fotelu. Publiczność, speszona, zaczęła cichnąć. Złakłem się, że aktor może nie pamiętać, w którym momencie podjąć rolę. Nim mu jednak zdążyłem podrzucić słowo, zapytał głośno z gestem w stronę budki "panie suflerze, na czym skończyliśmy?"

Pamiętam — ciągnie dalej p. Filipowicz — jak kiedyś pomogłem Zelwerowiczowi. Grał z Cwiklińską w jakiejś komedii. Była taka sytuacja, że stał tyłem do budki. Nie widziałem jego twarzy, lecz usłyszałem pauzę, której być nie powinno. Aż zmartwiałem; to się Zelwerowi nigdy nie zdarzało. Podsuwam słowo; cisza. Widzę tylko, że artyście kark nabrzmiewa czerwienią. Znowu podpowiadam głośniej; cisza. Wreszcie rzucam mocno potrzebny wyraz. Widzę, Zelwer potrząsa ramionami, jakby mu kto chlusnął wodą na głowę i podejmuje kwestię. Pytam w przerwie: co się dyrektorowi stało? — "Nie wiem, mówi, wszystko zapomniałem, jakby mi kto łeb opróżnił. Starość czy co?" Kotarbiński, znakomity aktor, często się przejeżdżał, ale zawsze z tego umiał wybrnąć. Nieraz układał nowe rymy, żeby ratować sytuację. Ale był to też dziwak. Znaczek pocztowy nalepił na skrzynkę, a list wrzucił bez marki. Naj-



W salach Zachęty w Warszawie otwarto wystawę prac Jerzego Nowosielskiego z lat 1948 - 1962. Na zdjęciu Kazimierz Mikulski na tle swego obrazu.



W Warszawie czynna była niedawno wystawa monotypii znanej warszawskiej plastyczki Zofii Artymowskiej.

większą moją miłością był Jurek Leszczyński. Pamiętam, 33 lata temu szła w Polskim "Moralność pani Dulskiej". Przyjechała wystąpić w niej gościnnie świetna aktorka z Czechosłowacji. Jurek chciał zrobić kawał i jedną kwestię wyrecytował jej po czesku. A ona w śmiech, publiczność oczywiście też. Żeby się odegrać, na drugi wieczór Czeszka łupnęła mu parę zdań po polsku. Efekt był jeszcze lepszy. Ta sama "Moralność pani Dulskiej" idzie w naszym teatrze teraz, w 1963 r. I gra w niej ta sama świetna Romanówna. Tylko, że 33 lata temu była młodszą Hełsą, a dzisiaj kreuje rolę tytułową. Co robić, czas robi swoje. Widzę to, gdy spojrzę na swoją lysinę. Ale czas jest łaskaw dla naszego teatru — uśmiecha się nasz rozmówca — bo utrzymaliśmy sympatię, zdobyłą w pierwszych latach istnienia. Jesteśmy stale w polskiej czołówce teatralnej. Mamy wierną publiczność, która ciągle wzbogaca się o młodych. Żyjemy i rozwijamy się, chociaż historia nie poskapła nam ciągów. Pierwsza wojna światowa rozbili zespół artystów. Dyrektor Szyfman został przez władze carskie wywieziony aż do guberni wiatkiej. Podczas drugiej wojny zespół ludzi teatru poniósł tragiczne straty. Gmach teatru został mocno uszkodzony, archiwa zniszczone. Przepadły sprzęty, dekoracje, kostiumy. Ale w 1945 r. w czerwcu, robotnicy usuwali już poszarpany blok betonu, zawieszony nad malarnią. Zaczynało się życie. W styczniu 1946 r. warszawska publiczność oglądała już pierwszą powojenną premierę — "Lille Wenedę" Słowackiego. Od tamtej pory do dziś pracujemy nieprzerwanie. Gramy dla publiczności polskiej i występujemy za granicą. Przyjmowano nas wszędzie serdecznie. Klaskali nie tylko rodacy, którzy przyszli na przedstawienia, ale i widzowie innych narodowości. Muszę przyznać, że najbardziej lubię prostych odbiorców. Nie lubię premier, bo wówczas polowa teatru to zawodowi znawcy. Dopiero na balkonie siedzą "żywi" widzowie, reagujący szczerze i spontanicznie. Za to bardzo lubię przedstawienia dla szkół. Bo nasza młodzież, o której mówi się nieraz z przekąsem — "ta dzisiejsza młodzież" — jest naprawdę wrażliwa, kocha teatr i rozumie go. I kiedy pracuję podczas takiego przedstawienia, czuję się młody, choć mam na karku ósmy krzyżyk, a za sobą ponad 50 lat pracy na suflerskim stanowisku.

Małgorzata Szejnert

BRAQUE I KUBIZM

NA MARGINESIE ODCZYTU PROF. MOUROT W KLUBIE 44

Czyżby rzeczywiście współpraca między Aliance Française i Klubem 44? Pamiętam już taką próbę sprzed paru lat: ówczesny dyrektor Aliance, prof. Claude Robert, mówił o współczesnej powieści francuskiej.

W czwartek, 6 czerwca, prof. Roland Mourot miał odczyt o jednym ze wspólnych starców, filarów nowoczesnego malarstwa francuskiego, o Braque'u.

To zadziwiające, że współcześni twórcy malarze francuscy stanowią historię nowoczesnego malarstwa: Picasso, Bissière i Braque, do niedawna Matisse, Léger i przed kilkoma zaledwie dniami zmarły Villon, wspaniałe, żywotne staruchy, przerzucające się od naturalizmu poprzez kubizm do abstraktu i umiające odnaleźć w każdej z tych form swoją własną, niezastąpioną drogę. I pomyśleć, że czterdziestoparoletni zaledwie de Stael przypłacił rozstrojem nerwowym i samobójstwem zagubienie się w abstrakcie i brak możliwości "nawrócenia", odnalezienia własnej drogi.

Prof. Mourot wprowadził nas ostrożnie w kubizm i Braque'a. Na początku aż trochę szkolarskie wytłumaczenie elementarnych zasad perspektywy, nawiązanie do Leonarda i jego "naturalistycznych" portretów na tle pejzażu toskańskiego... Ale nie zawiodła prelegenta jego rutyna i doświadczenie pedagogiczne: po tych szczeblach wznosimy się coraz wyżej, śledząc bez wysiłku myśl wykładawcy ułatwiającego nam zrozumienie tego pozornie trudnego zjawiska jakim był kubizm i jest abstrakt.

Nieufność publiczności do malarstwa niefiguratywnego ma swoją podstawę w obawie, że artysta nie bierze jej na "serio", chce w jakiś sposób z niej zakpić, jakoś ją oszukać.

Prof. Mourot spokojnie wyjaśnia, że te jak najbardziej uproszczone formy są poszukiwaniem własnej prawdy artysty, chęcią objęcia i przedstawienia przedmiotu, takim jakim on jest w rzeczywistości, rzucenia na dwuwymiarową płaszczyznę trójwymiarowego przedmiotu, odnalezienia w p u k ł o ś c i, przedstawienia go takim jaki jest, jak by był widziany jednocześnie ze wszystkich stron. Przy malarstwie kubistycznym i abstrakcyjnym, czyli uproszczonym do maksimum, niesposób oderwać się od pojęcia samolotu. Te stoly z martwych natur Braque'a, wylatujące na nas z jego obrazów, są to stoly widziane z góry, z lotu ptaka.

Przedmiot jest trójwymiarowy, ma stronę, której oko nie spostrzega, ale ta strona i s t n i e j e. Nieprawda, że przedmioty o jednakowej wielkości zmie-

niają wymiar, jak każą nam wierzyć malarze posługujący się klasyczną perspektywą. Przez to, że bardziej od nas oddalone faktycznie nie stają się one mniejsze, odrzucamy więc klasyczną perspektywę, aby je pokazać takimi jakimi są.

Obraz nie ma nas wciągać w swoje wnętrze, perspektywa ma nam wychodzić na przeciw, formy mają być jednocześnie jak najbardziej uproszczone, ponieważ oko prawie nie dostrzega szczegółów, jest wrażliwe na same kształty. Odrzucajmy zatem wszystko co zbędne, co "da się odrzucić" — jesteśmy w pełni kubizmu.

Na doskonale dobranych reprodukcjach prof. Mourot ilustrował rozwój malarstwa Braque'a. Od klasycznych widoków portowego miasteczka, pełnych morza, nieba i ziemi poprzez groźnie narastające kubistyczne domki aż do abstrakcyjnie przedstawionego portu, gdzie element nieba, ziemi i morza został wprowadzony zaledwie do paru symboli, lekkich zaznaczeń. Ale ten abstrakt jakże jest braque'owski! Charakterystyczne kolory: czernie, frapujące biele i zadziwiające fiolety jak w pięknej martwej naturze z białym dzbanem — źródłem światła — na stole, poetyczne zółcie i pomarańcze i ten motyw tak charakterystyczny gitary od prawie naturalistycznej, aż po kontur, symbol nieledwie, uproszczony do maksimum, znak na płótnie, który nie przestał być gitarą. Tak jak ta sama fraza muzyczna opracowana przez kompozytora w różnych tonacjach...

I w końcu wracamy do wielkiego odkrycia Picassa: "Nie ma sztuki abstrakcyjnej, trzeba zawsze zacząć od czegoś. Można potem odjąć cały pozor realizmu, nie ma już wtedy niebezpieczeństwa, bo idea rzeczy zostawiła ślad niezatarty".

I druga teza, pozornie tylko przeciwna, a właściwie uzupełniająca pierwszą, że każda sztuka jest abstrakcyjna, bo nie ma dzieła sztuki najbardziej realistycznego, które by nie miało w sobie elementów abstrakcyjnych 1). Albowiem, żeby zakończyć także cytatem samego Braque'a, — "istotne w sztuce jest to co jest "nieprzetłumaczalne"... I nasza własna wrażliwość, dodam skromnie.

Więc więcej takich odczytów, które dają nam jednak coś do myślenia, a nie tylko do przeliczania. Profesorowi Rolandowi Mourot i kierownikowi Klubu należy się serdeczne podziękowanie.

1) — Dictionnaire de la peinture moderne (Ed. Hazan).

(bkb)

Passatours Viagens e Câmbio Ltda.

Agente exclusivo de "ORBIS"

TURISMO
PASSAGENS
SÃO PAULO
Rua São Luiz, 100

Caixa Postal, 2.620

VIAGENS
CARGAS
Telefones:

33-7337 — 36-1808

37-0944

End. Telegr. PASSATOURS.

CO OPOWIADAŁ STARY PIRAQUARA

TAM GDZIE DIABEŁ
MÓWI DOBRANOC

Oto co opowiadał stary Piraquara:

Działo się to około r. 1810, gdy król portugalski Dom João VI przeniósł się do Brazylii.

W owych czasach plukano jeszcze złoto po zakątkach gór nadmorskich poczynawszy od Cananea, a kończąc na zatoce São Francisco. Wydajność pluczek nie była wielka starczyła jednak na utrzymanie kilkuset rodzin w miejscach gdzie dla braku dróg nie było zbytu na produkty rolne.

Miedzy innymi eksplotowano złoto w miejscowości Limeira w rzece Ribeirão de Ouro, która wypływa spod góry Redondo. Tyle, że plukaniem nie zajmowali się tam garimpejry tylko fazender, pradiad Manoela da Costa, szefa politycznego Guaratuby. Na plucze pracowało u niego kilkunastu niewolników. Prócz tego sadził dużo manioku i ryżu. Miał też niewielki statek żaglowy, którym przewoził produkty rolne do Paranaguá.

Wśród niewolników, zatrudnionych na plucze, był jeden olbrzymiego wzrostu i wielkiej siły, bardzo popędliwy. Zwano go Kassanże, ponieważ pochodził ze szczepu murzyńskiego Cassange.

Kassanże kłócił się o byle co, a nawet bił swych towarzyszy. Pewnego dnia palnął jednego z niewolników pięścią w kark i zabił go na miejscu. Ze strachu przed karą skoczył w las i uciekł.

Fazender wysłał za nim pogoń, ale nie można go było znaleźć. Może też bano się go szukać, gdyż Murzyn był odważny i waleczny.

Po upływie dwóch miesięcy uciekinier wrócił na fazendę. Ukazał się jednemu z niewolników pracującemu przy plewieniu manioku. Dał znak ręką, że pragnie mu coś pokazać, a kiedy niewolnik zbliżył się pokazał rurkę bambusową, pełną ziarenek złota (ouro grosso).

Kazał później niewolnikowi pobiec do fazendera i zapytać, czy przyjmie go do swej łaski i nie będzie karać, jeżeli da rurkę pełną złota jako odszkodowanie za zabitego niewolnika.

Fazender zgodził się na to łatwo, a gdy Kassanże stanął przed nim i podał bambusową rurkę ze złotem oświadczył solennie, że mu wszystko przebacza. Spytał następnie Kassanże gdzie odkrył ouro grosso. Kassanże zmyślił na poczekaniu, że znalazł złoto po przeciwnej stronie gór Serra da Prata na stokach wiodących do Paranaguá.

Fazender nie bardzo w to uwierzył nie dał jednak tego poznać po sobie. Aby zjednać sobie Kassanżę powiedział, że prócz przebaczenia pragnie jeszcze obdarzyć go jakimś upominkiem.

— Co byś chciał mieć? — zapytał.

— Proszę o pistolet.

Potem by okazać więcej łaski uczynił go fejtorem tj. przełożonym sześciu niewolników, którzy plukali złoto pod Redondo.

Kassanże objął nad nimi komendę i prowadził robotę ku zadowoleniu swego pana. Niewolnicy plukali zwietrzały granit i co tydzień, jeżeli nie lały deszcze, oddawali fazenderowi od 8 do 12 ojtaw złota (28 do 42 gramów).

Sam Kassanże nie plukał. Doglądał tylko, rozporządzał i starał się o żywność. W pogodne dni po wydaniu poleceń zwykł był po obiedzie wychodzić na polowanie. Wracając wieczorem przynosił prawie zawsze kurę leśną — macucu. Kiedy fazender dowiedział się o tym

zrodziło się w nim podejrzenie, że Kassanże plucze ouro grosso w znanym sobie zakątku gór. Namówił jednego z pluczkarzy, żeby śledził Kassanżę, gdy ten pójdzie na polowanie. Obiecał przy tym owemu pluczkarzowi sowitą nagrodę za wykrycie miejsca gdzie udaje się jego fejtora.

Biedny niewolnik, zachęcony nagrodą, zaczął śledzić Kassanżę. Szedł za nim, skradając się, ale trudno mu było nadążyć, gdyż olbrzym posuwał się zwinnie i szybko. Często zniknął mu z oczu.

Pewnego razu, kiedy zapuścił się daleko za Kassanżę ten jak gdyby zapadł się pod ziemię. W miejscu tym znajdowała się przepaść i nie było nikogo.

Po pewnym czasie Kassanże zauważył, że jest śledzony. Być może ostrzegł go któryś z pluczkarzy.

Wkrótce potem postanowił skończyć z tą zabawą. Zaczaił się na grubym drzewie i gdy niewolnik zrównał się z owym drzewem strzelił i zabił go. Nie wrócił już do pluczki. Poszedł w świat.

Pluczkarze słyszeli strzał. Słyszeli, ale nie wiedzieli co oznaczał. Dopiero, gdy wieczorem nie wrócił ani Kassanże, ani niewolnik, który go śledził, zrozumieli, że stało się coś złego.

Fazender zarządził nazajutrz poszukiwania. Odnaleziono trupa niewolnika. Nietrudno było dojść do wniosku co i jak się stało.

Dotknięty tym wypadkiem do żywego fazender sprowadził capitão do matto. Szukano w lesie i w górach między Guaratubą i Paranaguą i nie znaleziono zabójcy.

Upłynęły lata i nikt nie wiedział co się z nim stało.

(D. c. n.)
PINIOR



Moda polska. Na zdjęciu model prostego płaszczyka wiosennego.

W zapadłym kącie stanu Amazonas o 800 kilometrów od Manaus u ujścia rzeki Tefé do rzeki Solimões znajduje się osada, w której od r. 1896 osiedlili się zakonnicy holenderscy.

Parafia Boca de Tefé liczy pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. Na tym rozległym obszarze mieszka zaledwie osiemnaście tysięcy osób.

Zakonnicy mają rozległe plany. Postanowili zbudować w Tefé szpital, rozgłośnię radiową i podnieść poziom rolnictwa w okolicy.

Szpital w Tefé będzie jedną placówką tego typu w promieniu dwóch tysięcy kilometrów. W całym stanie istnieje ponadto szpital w Manaus i drugi w Benjamin Constant — koniec.

W Tefé działa już rozgłośnia radiowa o charakterze doświadczalnym. Szkolenie okolicznych mieszkańców odbywa się drogą radiową. Osiedla, położone w nieprzebytej puszczy, składające się z czterech lub pięciu domów, zostały wyposażone w odbiorniki, tablicę i najniezbędniejszy materiał szkolny. Nad szkoleniem czuwa jeden z mieszkańców umiejący czytać i pisać.

W Tefé czynna jest szkoła techniczna, która poza agrotechniką prowadzi również kurs mechaniki i stolarki. Dla zapewnienia szkole możliwości rozwoju zakonnicy zorganizowali spółdzielnię produkcyjną. Szkoła jest jednym z członków spółdzielni.

Pierwsze kroki nowej spółdzielni ułatwiło otrzymanie od zakonników maszyny do łuszczenia ryżu. Dało to impuls do rozwoju uprawy ryżu w okolicy, pozwoliło na sprzedaż produktu po wyższej cenie. Istnieją też plany budowy fabryki mydła w oparciu o tłuszczy ryby boto, w którą obfitują wody rzek stanu Amazonas.

Kilka ciekawych informacji o ludziach zamieszkujących okolicy Tefé. Są to przeważnie poszukiwacze kauczuku, zbieracze orzechów lub drwale, ciemni i nieporadni. Wyżyskiwani są przez bogatych właścicieli ziemskich. Tych zaś ze swej strony eksploatują miejscowi kupcy. Na miejscowych kupcach pasyżują hurtownicy miejscy — istny łańcuszek wyzysku.

Poszukiwacze kauczuku zarabiają do 80 tys. kruczejrów rocznie za zebrane w ciągu 60 dni pracy 600 do 700 kg. kauczuku. W ciągu pozostałych 10 miesięcy w roku chorują, łowią ryby (muszą przecież zdobyć coś do jedzenia) i próżnują.

(F. P.)

Poszukiwanie rodzin

JACKA SALESA ze Lwowa, zam. w r. 1948 w São Paulo, rua Silva Pinto, 405, apt. 4, Bom Retiro, poszukuje siostra Maria Stecykowska, zam. Dębica, ul. Słoneczna 7, Polska.

JERZEGO KIELARSKIEGO, urodzonego w Krakowie dn. 11 czerwca 1921, syna Ludwika i Emilii Wandy z domu Haralewicz, zam. ostatnio w Niteroi (bliższy adres nieznan), a poprzednio w Rio de Janeiro, rua Carioca 48, skąd się wyprowadził, poszukują zrozpaczeni rodzice. Prosimy o ew. informacje do "Przeglądu Polskiego", Caixa Postal, 4.530, São Paulo. ówae

Henryk Przyborowski

KARTKI Z LAMUSA

(Wyjątek z książki: *RAPORT KARNY*, która ukaże się nakładem firmy B. Świderski w Londynie.)

DZIEWICA ORLEAŃSKA W POZNANIU

"Obrona Częstochowy", wystawiona w teatrze Wielkim w Warszawie, była pierwszą sztuką jaką dane mi było widzieć. Miałem wtedy lat 10 i zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Pieśń, "Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny..." — śpiewana przy akompaniamencie organów i dalekiego huku armat, przejęła mnie do głębi.

— Chłopak jest wrażliwy... — mruczał nad moim łóżkiem ojciec, kiedy płakałem po nocach. — Trzeba go zaprowadzić do Cyrku albo na Dynasy...

Potem, już tylko "Wesele" spędzało mi sen z powiek. Rozrywki szukałem w znakomitej operetce warszawskiej, poza tym wędrowałem od teatru do teatru w ślad za ulubionymi aktorami.

Podczas krótkiego urlopu z frontu w r. 1920 postanowiłem spróbować przenieść własną wizję na deski sceniczne. Zasiadłem do pisania sztuki teatralnej p. t. "Łazik". Pewnego dnia ojciec zdenerwowany, że się spóźniam na posiłki, wszedł do pokoju.

— Skończysz na tym... — powiedział — że będziesz czyścił ogony koniom wyścigowym...

Ojciec płacił cierpliwie długi moich wujów Stefana i Aleksandra Wielogłowskich, którzy potracili majątki na stajniach wyścigowych. Wyścigi konne uważał za dopust Boży.

Niedługo potem, odbyła się premiera "Łazika" w teatrze na Śniadeckich. Zjawił się na niej gen. Józef Haller ze sztabem, sala była przepełniona do ostatniego, stojącego miejsca.

Kiedy mnie wywołano na scenę, ujrzałem ojca w pierwszym rzędzie krzeseł. Był jedynym widzem ubranym w smoking. Przesłał bić brawo i wyciągnął chustkę. Na zakończenie sztuki, orkiestra braci Namysłowskich grała pianissimo piosenkę "Rozkwitały pęki białych róż..." Na tle tej melodii opadała kurtyna. Widocznie ta piosenka tak go wzruszyła.

Od Redakcji

W dzisiejszym numerze "Przeglądu Polskiego", rozpoczynamy druk trzech wyjątków, z książki Henryka Przyborowskiego p. t. "RAPORT KARNY", która ukaże się niedługo, nakładem firmy wydawniczej Bolesława Świderskiego w Londynie.

"Kartki z lamusa" to wyjątek z I części książki. W następnych numerach, czytelnicy znajdą opowiadania p. t.: "Wyspa węzłów" (część II-go) oraz "Polska, w Kurytybie" (część III-cia).

W przedmowie do książki, autor pisze m. in.:

"... Mam wrażenie, że wielu naszych autorów emigracyjnych, rozpoczynając pisanie wspomnień, chwytają za pióro z zażenowaniem. Tłumaczą nam dlaczego to czynią. Niepotrzebnie. Kilka, czy kilkanaście książek, — są mikroskopijnymi fragmentami obrazu epoki, którą przeżyli. W każdej z tych książeczek, współczesny czytelnik, prędzej czy później, odnajdzie — siebie. Czytelnik przyszłości, dopiero po zebraniu wszystkich fragmentów, zda sobie sprawę z naszego życia. Ilekroć to niedomówień będzie zmuszony uzupełnić własną wyobraźnią!

Bo na jakąż to epokę dane nam było natrzeć: od portu Artura poprzez szarżę ułanów legionowych na okopy pod Rokitną, do bomby atomowej rzuconej na Hiroshimę, — tysiące pól bitewnych uczyło nas — geografii.

Warszawa, w której zamknęły się dzieje współczesnej Polski, dała nam lekcję historii ojczyzny. Dzień niepowodzenia, raz za razem, porwał huraganem dorobek pokoleń i unosił go na zatracenie."

"... Kartki zawarte w tej książce, nie są targane wichurą.

Pisałem je w krótkich okresach ciszy i wyrwałem z notatnika własnego życia. Nie zawierają opisów wydarzeń dziejowych, nie poruszają głębokich problemów. Starałem się na nich utrwalić, — jak na taśmie filmowej, — drobne i nieważne epizody ze szlaku wędrówki od lat dzieciństwa aż po dzień dzisiejszy..."

Po przedstawieniu poszedł do nas ówczesny krytyk teatralny "Rzeczypospolitej" Kornel Makuszyński.

— Podam panu porucznikowi rękę tylko na następnej premierze... wyrzekł.

Kiedy się oddalił, ojciec uściśkał mnie serdecznie.

— Z czego ty będziesz żyć?... — westchnął — Literat w Polsce to koń wyścigowy, który zazwyczaj zdycha zanim dojdzie do mety...

Pionne to były obawy. Po wojnie rozpocząłem orać, siać, młócić i płacić podatki.

— Zmarnował się... — mówiła matka.

— Będą z niego ludzie... — oponował ojciec.

Ile razy wpadałem do Warszawy ze wsi, każdy wieczór spędzałem w teatrze. Po przedstawieniu chodziliśmy na kolację do "Astorii" na Nowym Świecie. Tutaj, pewnego wieczoru, pokazał mi Zygmunt Łęczyński — mój kolega szkolny — Zygmunta Nowakowskiego.

— Ten pan co stoi z Jaraczem przy bufecie i ciągnie wiśniówkę. — Wskazał mi ruchem głowy przystojnego młodego człowieka, — to aktor, który został doktorem po to, aby być aktorem.

Kiedy milczałem zastanawiając się nad rozwiązaniem zagadki tej skomplikowanej kariery życiowej, Zygmunt, — który się uważał za mojego mentora w Warszawie, — wyjaśnił:

— Widzisz to tak jakby dorożkarz został biskupem i powrócił na kozioł do bata...

Wypiliśmy dopiero pierwszy kieliszek. Tylko dzięki temu nie doszło do awantury. Uwielbiałem aktorów, kochałem się w Szylinzance, Kazi Niewiarowskiej, Zuli Pogorzelskiej.

— Trudniej zagrać Hamleta, — odpowiedziałem cierpko — aniżeli wyciąć migdałki...

"Doktor" w moim pojęciu, mógł być tylko doktorem medycyny, Galicyjski zwyczaj tytułowania z trudnością przyjmował się w Warszawie.

Przywiązanie moje do teatrów nie osłabło, kiedy znacznie później przeniosłem się w poznańskie.

Pozbawione poważniejszych subsydiów teatry w Polsce, walczyły do ostatnich czasów z wieloma trudnościami. Mogłem się o tym przekonać zaprzyjaźniwszy się z dyr. Teatru Polskiego Robertem Boelke i dyr. Teatru imienia H. Modrzejewskiej, Mieczysławem Rutkowskim w Poznaniu.

Oto np. kiedy dyr. Rutkowski potrzebował statystów, telefonował do "Bratniaka" i zapraszał na scenę, biedujących studentów. Płacił za występ — 2 złote.

Kiedyś, przed przedstawieniem "Joanny d'Arc" bractwo bratniackie zastrajkowało. Studenci zażądali zawrotnej podwyżki tantien: domagali się 3 zł. 50 groszy za występ. Dyr. Rutkowski wpadł w furję:

— Nie dostaną ani grosza!!... — krzyczał.

Niedaleko, obok Mostu Teatralnego, znajdował się postój taksówek. Długa ich linia, oczekiwała na koniec przedstawień w pobliskich: Operze, Teatrze im. Modrzejewskiej i Komedii Muzycznej. Poznań, tak jak i Kraków, był miastem kładącym się wcześniej do łóżka. Taksówki nie miały wiele roboty.

Rutkowski wpadł na pomysł zmobilizowania kierowców taksówek.

Zebrawszy kilkunastu, zaprosił ich do pobliskiego baru, — w którym jakimś cudem miał kredyt, — "podlakierował" solidnie, zaczęli przybranych w zbroje angielskich rycerzy i żołnierzy Dziewicy Orleańskiej pouczył przy pomocy reżysera Konstantego Tatarkiewicza, jak się mają zachowywać na scenie.

Nieszczęście chciało, że giermkim księcia Bedfordu został właściciel takówki niejaki Walkowiak, podczas gdy jego zacięty wróg i konkurent Grześkowiak, znalazł się w szeregach księcia Burgundii. Podczas bitwy na scenie, źle dopasowana przyłbica zsunęła się Grześkowiakowi. W urojonym nieprzyjacielu Walkowiak rozpoznał prawdziwego wroga. Dokonałszy tego odkrycia, rąbnął go w łeb z całej mocy. To uderzenie miało nieprzewidziane następstwa; tekturowy hełm, rozcięty na głowie Grześkowiaka opadł mu na szyję, ukazując oblicze, przypominające do złudzenia fizjonomię Harpo Maksa z czasów największego rozkwitu jego talentu; miecz Walkowiaka, rozleciał się na drobne drzazgi. Żadna surma wojenna, nie potrafiła by wlać tyle

animuszu w walczące strony co to uderzenie. Taksówkarze poczęli się okładać czym popadło. Grzeszkowiaka, z broczącym krwią nosem, musiano znieść ze sceny. Na pokrytą polamanymi pikami, mieczami, hełmami i kawałkami dekoracji scenę, spuszczono kurtynę.

Pobiegliśmy z Bolciem Szczepkowskim za kulisy.

Z garderoby Dziewicy Orleańskiej, Haliny Cieszkowskiej, dobiegł nas spazmatyczny szloch:

— O, idioci!... Coście zrobili?! — zawodziła — przecież ci pijacy omal mnie nie zabili!...

Tatarkiewicz, — książę Bedfordu i Bystrzyński — książę Burgundii, cucili ją lemoniadą. Uznałem to za kpiny i pogałem do tego baru gdzie Rutkowski miał kredyt po — koniak Strzelczyka, który w moim przekonaniu nie usłępował Martellowi.

Podczas kiedy przodownik policji spisywał za kulisami protokół "o pobicie", nieliczni widzowie, nie zrażeni przedłużającą się przerwą czekali cierpliwie na swoich miejscach, na dalszy ciąg przedstawienia.

Tylko jakaś dama, starająca się z trudem wyprowadzić opierającego się męża, ostrzegała go drżącym głosem:

— Chodź Wojciech do domu, teraz będą strzelać!...

— Ty będziesz strzelać?... — bronił się nieszczęśliwy małżonek.

PECHOWY REMBRANDT.

Serdeczny mój przyjaciel, Bolesław Szczepkowski, pochodził z Sosnowca i jako młody chłopiec wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

Powróciwszy po kilku latach do kraju, został nauczycielem języka angielskiego w szkole ks. Jana Gralewskiego. Po pierwszej wojnie światowej pracował przez jakiś czas w "Rzeczpospolitej" pod kierunkiem Stanisława Strońskiego. Wkrótce przeniósł się do Poznania, gdzie objął stanowisko naczelnego redaktora endeckiego "Kurjera Poznańskiego".

W r. 1929-m Bolcio Szczepkowski napisał artykuł wstępny do "Kuriera" p. t. "Próba syntezy". Wyraził się w nim nie dość ujemnie o polityce marsz. Piłsudskiego, który — wedle jego opinii — nie z własnego przekonania ale ze smutnej konieczności, wybrał drogę, po której kroczy. W konkluzji dowodził o konieczności dojścia do jakiegoś porozumienia, albowiem dalsze pieniacstwo partyjne grozi w podstawy bytu Polski.

Następnego dnia — po opublikowaniu tego artykułu, — wyrzucono go z "Kurjera".

Wypadek ten, zbiegł się z moim przyjazdem do Poznania.

Szczepkowski, wraz ze swoją naprawdę uroczą żoną dwoma córeczkami i starym schorowanym teściem b. kolejarzem, był w nędzy. Oszczędność była mu obcą, ostatnia pensja rozeszła się szybko. Nie powiedział mi słowa o swojej sytuacji. Kiedy wyszedł na chwilę z pokoju, dowiedziałem się o wszystkim od jego żony. Nie miała za co kupić mleka dla dzieci. Zmusiłem ją do przyjęcia — jako pożyczki — tysiąca złotych. Bolcio zwymyślał mnie za to i oświadczył, że przy pierwszej sposobności dług mi zwróci. Istotnie, kilka tygodni później, zaproponował mi przyjęcie — jako zwrot długu — doskonałej kopii obrazu Rembrandta.

— Przyjdź do mnie wieczorem, — powiedział — obraz będzie oprawiony w ramy i zapakowany.

Kiedy się zjawiłem w jego mieszkaniu chodził nachmurzony po pokoju.

— Henryczku, — wyrzekł — ja ci tego obrazu dać nie mogę...

— Bołeczku, — odpowiedziałem — ja go wcale nie potrzebuję. Sprzedaj go i po krzyku...

— Nie mogę ci dać tego obrazu — ciągnął Bolcio — albowiem dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że przynosi on nieszczęście. Dostałem go w przeddzień wyrzucenia z "Kuriera", jego pojawienie się w naszym domu, rozpoczęło szereg klęsk, które chyba się skończą jak go usunę...

Minął rok. Pewnego dnia znalazłem się w salonie adwokata dr Borszczewskiego. Oczekując na rozmowę z adwokatem, rozglądałem się po salonie. Na ścianie wisiał obraz: doskonała kopia Rembrandta.

Po załatwieniu sprawy, zwróciłem się do adw. Borszczewskiego.

— Od kogo pan mecenas dostał kopię Rembrandta wiszącą w salonie? — zapytałem.

— Od Bolesława Szczepkowskiego, który opłacił mi nią honorarium...

— Czy od chwili, w której obraz znalazł się w pana posiadaniu, nie spotkała pana mecenas żadna przykreść?...

Mec. Borszczewski popatrzał na mnie zdziwiony, zmarszczył brwi, i siedział w skupieniu dłuższą chwilę.

— A to ciekawe, — wyrzekł wreszcie — wie pan, po o-
trzymaniu tego obrazu, przegrałem pod rząd trzy ważne pro-

cesy co mi się nigdy w życiu nie zdarzyło. Żona mi się ciężko rozchorowała, wyzwało mnie na pojedynek...

Adw. Borszczewski zerwał się zza biurka i pobiegł do salonu.

— Marcysiu! — zawołał na służącą. — Proszę zabrać stąd ten obraz i spalić go albo wyrzucić na śmietnik!...

Pocziwy Bolcio, uchronił mnie od nieprzewidzianych nieszczęść.

I jemu samemu zaczęło się lepiej powodzić: powrócił do Warszawy, gdzie redagował tygodnik "Kobieta w świetle i domu". Kazał żonie gotować według przepisów kucharskich zalecanych przez swoje pismo.

Utył. Ile razy przyjeżdżałem do Warszawy, zapraszał mnie do siebie na sztuka mięs z rurą i ogórkiem monasterskim.

Była wspaniała!

JÓZIOWE KONKURY.

Jeśli kierowca taksówki Grzeszkowiak, — o którym wspomniałem powyżej, — był podobny do Harpo Maksa, to mój kuzyn, przyjaciel i długoletni domownik, Józio Krzyżanowski, był wykapanym Buston Kiton'em.

Józio przekroczył już czterdziestkę. Miał gołębie serce, uczucia swoje wyrażał wyłącznie nerwowym drganiem powiek. Nie śmiał się nawet z własnych wcale dowcipnych "kawałów". Poza fluksją i migreną, które go nawiedzały regularnie każdego miesiąca, był zdrów i silny.

Przy działach rodzinnych starszy brat, Tadeusz, otrzymał majątek Charzowice w pow. pińczowskim. Młodszy, Włodzio, dostał majątek ojcowski Cudzynowice pod Kaźmierzą Wielką. Józio, splecono gotówką. Rozfujarzył ją do ostatniego grosza. Jak się to stało nie mógł mi nigdy wytłumaczyć.

Byłem niezmiernie rad z jego pobytu w naszym domu. W ciągu dnia Józio pomagał mi wydatnie w zajęciach gospodarskich, po południu chodziliśmy na kaczki albo na kuropatwy, wieczorami graliśmy w szachy. Wyuczyłem go jako tako prowadzić samochód i Józio jeździł czasami do urzędu skarbowego lub do starostwa załatwiać pilniejsze sprawy.

Którejś wiosny, zauważyłem w Józio poważną zmianę: stracił apetyt, posmutniał, stał się roztrzępany i zamyślony.

— Cóż ci jest u licha? — zapytałem go kiedy przegrał do mnie trzecią partię szachów. — O czym ty myślisz?...

Józio westchnął głęboko.

— Muszę się ożenić... — zatrzepotał nerwowo powieka-
mi.

— Wspaniały pomysł! — wykrzyknąłem. — Od jutra zaczynamy szukać panny młodej!...

— Naprawdę chcesz mi pomóc?... Józio chwycił mnie za rękę. — Widzisz ja sam nie wiem jak się do tego zabrać...

O konkurach Józia, — których początkowo byłem reżyserem — można by napisać scenariusz filmowy. Gdyby rolę bohatera grał Buston Kiton, film miałby zapewnione powodzenie.

"Ludzie, którzy nie mogą znaleźć tematów w życiu, są ślepcami" — powiedział kiedyś wuj Karol Janota - Bzowski.

A temat był nad tematy. Nie miejsce tu, aby go wyczerpać.

Pierwsza kandydatka na oblubienicę, wkraczająca już w okres staropaniński, a zatem — jak mi się zdawało — zdrowy nader łatwa, obraziła się na Józia, biorąc "tick" nerwowego jego oczu za natarczywie powtarzaną nieprzystojną propozycję.

Druga uwielbiała tańce. Józio, który nie posiadał słuchu i nie tańczył, zdecydował się na nadludzki wysiłek: poprosił pannę do fox-trota. Posadzka była dobrze wyfroterowana. Poślizgnął się, zawadzając nogą o wielką, stojącą lampę. Lampa, panna i Józio znaleźli się na podłodze. Ruszyłem na ratunek.

— O mało mnie nie zламаł!... — pisnęła panna.

Nie chciała słyszeć, ani o foxtrocie ani o Józio.

Trzecia, — ta już dalsza sąsiadka — była sportsmenką. Zaproponowała Józiovi przejażdżkę na motocyklu należącym do jej brata. Józio, dufny w swoją umiejętność prowadzenia samochodu, zgodził się na to z ochotą.

Pojechali wybiistą polną drożką. Po pewnym czasie Józio się odwrócił. Siodełko po za nim, było puste. Zgubił pannę na którejś dziurze.

Po tym wypadku, rzekłem się reżyserowania konkurów.

— Słuchaj Józio, — powiedziałem — my nie jesteśmy fachowcami. Musimy się zwrócić o pomoc do fachowców.

W Poznaniu, na ul. św. Marcina, mieściła się redakcja miesięcznika p. t. "Głos Serca". Jego redaktor prowadził biuro matrymonialne. Pojechalśmy do Poznania.

W poczekalni biura, na ścianach, wisiały oprawione w ramki listy dziękczynne, wszystkich tych, którzy za pośrednictwem "Głosu Serca" znaleźli szczęście małżeńskie.

— Myślałem że już nigdy nie znajdę towarzyszek tej ciężkiej doli kawalerskiej... — głosił jeden list — a "Głos Serca" zaśpiewał mi Veni creator..."; "Głos Serca" w osobie panny Zosienki, zapoznał mnie z osobą której dzisiaj stópki całuję... — zwierzał się drugi. "Bez "Głosu Serca" — głosił trzeci — zeszedłbym na psy. Dziś otwieram już drugi sklep towarów krótkich i myślę o trzecim..."

Weszliśmy do maleńkiego, skromnie ale bardzo czysto umeblowanego, gabinetu rozdawcy szczęścia małżeńskiego

Był nim przystojny mężczyzna w sile wieku, elegancko ubrany, i pachnący mocno wodą kolońską. Zaprosił nas u przejmie do zajęcia miejsc na plecionych fotelikach.

Przedstawiliśmy się.

— Klientem pana redaktora — zwróciłem się do niego — pragnie zostać mój kuzyn.

Redaktor otworzył grubą książkę i naciągnął atramentu do pióra.

Wysłuchawszy "danych personalnych" i zapisawszy je do książki, poczęstował nas papierosami równo ułożonymi w srebrnej papierośnicy.

"Teraz poprosi o wpłacenie "wpisowego"... — pomyślałem.

Ale, pomyliłem się.

— Jakiego rodzaju kobiety pan poszukuje, panie Krzyżanowski?... — zapytał.

— No, — bąknął Józio, — młodszej ode mnie i takiej co posiada co najmniej 500 morgów ziemi... Naturalnie musi być nie brzydka...

Kiedy redaktor patrzył na niego bez słowa, dodał:

— Mam na myśli morgi magdeburskie...

— A ile morgów pan posiada, panie Krzyżanowski? — uśmiechnął się redaktor "Głosu Serca".

— Ja nie mam ani jednej morgi... — poprawił się nerwowym ruchem na fotelu Józio.

— A co pan ma?...

— No, stare znakomite nazwisko, herb, znajomości, przyjaciół...

— Ja kojarzę tylko małżeństwa o równej pozycji majątkowej. A herb, cóż to dzisiaj znaczy, jaki tam herb... — machnął ręką.

Józio poczerwieniał.

— Świnka, panie, jeden z najstarszych herbów szlachty polskiej! —

— Panie Krzyżanowski, — powiedział redaktor organu kojarzącego małżeństwa o równym majątku. — Ja pańskiego zgłoszenia nie przyjmę.

Na ulicy, chciałem powiedzieć Józiovi co myślę o jego "morgach" i "prosiaku" herbowym, ale spojrzawszy na jego oblicze nie powiedziałem słowa.

Był błąd, powieka skakała mu z szalącą szybkością.

— Jedźmy do domu... — szepnął — dostałem migreny...

Pocieszałem go jak mogłem.

— Zrobiliśmy głupstwo — skonstatowałem — trzeba się było wziąć za wdówki. Znam taką jedną...

Józio wsparł głowę na poduszkę samochodu i jęczał cicho:

— Człowiek, herb, nazwisko, wszystko psu na budę...

Pieniądze! Pieniądze!... Boda! je diabli wzięli...

Nie mieli już co brać.

SYLWESTER W BORUSSOWEJ

Uwielbienie obywateli galicyjskich dla majestatu C. i K. starosty powiatowego, zachowało się w niepodległej Polsce. Cóż dopiero mówić, jeśli na tym stanowisku, utrzymał się b. radca C. i K. Namiestnictwa.

Taki wypadek miał miejsce w powiecie Dąbrowa - Tarnowska.

Radca, czczony i otaczany powszechnym szacunkiem przez długie lata, nie opuścił gmachu starostwa. Poza zamianną dwugłowego orła czarnego na białego nic się w starostwie nie zmieniło.

Szczęście miała Dąbrowa Tarnowska, gdyż pan radca był naprawdę zacnym człowiekiem, dobrym administratorem, jeszcze lepszym myśliwym, a już niedoścignionym brydżystą. Jeśli idzie o tę grę, wmawiano w niego, że można go porównać tylko z Culbertsonem. Wydaje się, że w to wierzył.

Zazwyczaj jeździłem spotykać Nowy Rok do moich krewnych, zamieszkałych w Borussowej, pow. Dąbrowa Tarnowska.

Śmieszyła mnie nieco ta czołobitność wobec grubaska - starosty, dookoła którego tańczono i dygano, jak za dawnych, dobrych, panie dziejku czasów, Najjaśniejszego — przy tobie stoimy i stać będziemy — Pana, Franca — Józefa.

Podczas jednego z tych sylwestrów, kiedy mi już bardzo mocno szumiało w głowie, wzniosłem kielich o północy i improwizowanymi wierszykami rozpocząłem składanie życzeń. Kiedy przyszła kolej na starostę, palnąłem taki, — niezbyt taktowny — poemacik:

A tobie, tobie kochany starosto,

Tobie dziś życzyć należy,

Abyś przy brydżu patrzył w karty prosto,

Nie tam, gdzie impas ci leży...

Dwóch silnych kuzynów wzięło mnie pod ramiona i odprowadziło do łóżka. Ostatnim odgłosem jaki usłyszałem był zgrzyt klucza w zamku sypialnego pokoju.

Jak mi potem opowiadano, zacny radcunio, przyjął wierszyk z pogodą ducha.

— To państwo nie znają pana Henryczka? — śmiał się ponoć. — Jak tyknie nieco za dużo winka, to koniecznie chce być Mickiewiczem... To nie chodziło o mnie, to chodziło o rym do "starosty"...

Niewiarygodne ale prawdziwe: ten wyższy urzędnik państwowy miał poczucie humoru.

— Żeby to był kto inny a nie nasz kochany radca, — strofował mnie następnego dnia przy śniadaniu wuj Jan Janota - Brzowski, to byś dostał po buzi!... Jak cię już wpakowali do łóżka biedny starosta położył się bez dwóch na proste trefle. Tak zaczął Nowy Rok, przez ciebie! I to w moim domu!...

— Kto grał grzeciwo niemu? — zapytałem spokojnie.

— Edzio Bogusz, wraz ze mną...

— Żeby to ja grał, starosta nadrobiłby trzy lewy...

Wuj Jan popatrzał na mnie z odrazą, odsunął filiżankę kawy i wypowiedział to zdanie, które wiele razy w życiu słyszałem:

— Nie, naprawdę, ty jesteś niemożliwy!...

Za oknami rozległy się dzwonki sanek. Trzeba już było jechać na stację do Mędrzechowa.

Wuj Jan wyszedł na ganek.

— A pamiętaj o przyszłym Sylwestrze!... — zawołał wzruszonym głosem.

— Z wierszykami?! — odkrzyknąłem z sanek.

— Z wierszykami!... — wyciągnął ku mnie obie ręce i uśmiechnął się tak serdecznie, jak to tylko on potrafił.



Biblioteka wiejska w Maciejowie w woj. jeleniogórskim.

Mowa polska i krawcy Andersena

GRAMATYKA MOWY LUDZKIEJ

Podstawą, szkieletem gramatycznym mowy ludzkiej są rzeczowniki i czasowniki. Wykonujemy przecież pewne czynności, ruszamy się z miejsca na miejsce, otaczają nas różne rzeczy oraz ich działanie, względnie są te rzeczy i my sami do jakiejś czynności nastawieni, przygotowani.

Język ludów pierwotnych, których myśl ledwie zaczyna się kształtować, w początkowej fazie ich rozwoju, jeżeli nie ogranicza się do tych tylko części mowy, to przeważnie na nich się opiera.

Dla pewnej ilustracji powyższego twierdzenia weźmy tak trafnie podchwyczone ubóstwo mowy w języku Kalego z powieści Sienkiewicza "W Pustyni i w Puszczy".

Dopiero na wyższym stopniu rozwoju umysłowego ludu ten szkielet zaczyna się wypełniać, nabiera ciała, tyje, pokrywa się skórą i rumieńcem większej inteligencji. Przychodzą, stają się niezbędne i inne części mowy.

Wtedy to przymiotnik nadaje rzeczownikom barwę i zapach, smak i świeżość, kształt i wielkość itd., liczebnik je liczy i stawia w pewnej kolejności, zaimek zastępuje, skraca, a mowę ludzką, robiąc ją mniej gadatliwą a bardziej wymowną.

Przysłówek wzmacnia czasowniki, lepiej je określa. Pojawiają się przybudówki i wstawki w postaci przymków i spójników. Mowa ludzka staje się bardziej potoczna i płynna. Powstają bogate w części mowy zdania, w coraz doskonalszy sposób określające myśl ludzką.

Podchodzimy powoli do istoty rzeczy, zbliżamy się do nieosiągalnej być może nigdy prawdy, a jednak się zbliżamy.

POKREWIEŃSTWO MUZYKI I MOWY LUDZKIEJ

Również i muzyka, która jest wyrazem nie tylko pewnego nastroju ale i myśli ludzkiej, na swoją gramatykę, swe zdania — frazesy muzyczne i analogiczne do mowy ludzkiej części.

Szczególnie silnie ujawnia się to pokrewieństwo między muzyką, a ujętą w pewien rytm mową ludzką — poezją.

Na ogół można powiedzieć, że poezja ma swoją muzykę i odwrotnie — muzyka swą poezję.

Pokrewieństwo to sięga jednak szerzej i głębiej, obejmując często zwykłą prozę literacką, wpływając na budowę zdań i sięgając aż do samego brzmienia pojedynczych słów.

SPECJALNE WŁAŚCIWOŚCI JĘZYKA POLSKIEGO

Język polski nie znosi na ogół połączenia, zlepku dwóch słów dla uzyskania nazwy nowego pojęcia. Jeżeli to nowe pojęcie nie daje się określić jednym polskim słowem, zapożyczamy to słowo z obcego języka, nadając mu jakby prawo obywatelstwa w mowie polskiej, względnie używamy w tym celu kilku słów.

Dlatego też mówimy: kalosze, parasol, ciężki karabin maszynowy, odrzucając: mokrostopy, deszczochron, kulomiot.

Twarde, żołnierskie są słowa polskiego języka, jak to o tym mówi piosenka "Słowa twarde, jak stal kute, na żołnierską twardą nutę". Prócz tego obfite są spółgłosek w słowach polskich nadaje naszej mowie to, co Żeromski słusznie nazwał "szelastnością".

Ta twardość i szelastność naszej mowy sprawiły, iż przy uśłowianach złączenia dwóch polskich słów w jedną całość, powstaje zwykle pewien, niemiły dla polskiego ucha, dźwiękowy dysonans.

Ciekawą jest rzeczą, iż nowo utworzone słowa, które od razu uzyskały sobie dobre przyjęcie w polskiej mowie, jak np.: narty, wrotki, imadło, zawierają w sobie wyraźną onomatopoeję.

W słowie narty słyszymy chrzęst śniegu pod płozami rozpędzonych nart, we wrotkach — warczenie szybko obracających się kółek, imadło zachowuje się cicho i działa powoli, wzmacniając stopniowo napięcie uchwytu. Jest to jakby pauza muzyczna w dźwięczącym szeregu pobliskich słów, pauza wzmacniająca dźwięk, który po niej nastąpi.

Niektóre tylko słowa polskie powstały ze złączenia dwóch odrębnych słów. Nastąpiła jednak zwykle jakaś operacja plastyczna obu słów, aby umożliwić zrośnięcie się ich w jedną harmonijną całość.

Weźmy np. słowo spadochroniarz. Jeżeli rozłączymy składowe jego części, otrzymamy nie istniejące w mowie polskiej słowa: spado i chroniarz. Są i inne mniej sympatyczne od spadochroniarza słowa, powstałe ze zlepku dwóch słów. Na szczęście jest ich niezbyt wiele, aby mogły zakłócić ogólną harmonię mowy polskiej. Widocznie przez umuzykalnienie naszej mowy staramy się złagodzić jej twardość i szelastność,

nadając jej więcej dźwięczności. Natomiast jest cały szereg wyrazów obcych w języku polskim, które tak się u nas zadowoliły, że pozostaną do końca mowy i narodu polskiego. Mogliśmy niemiecki śrubsztak przerobić na imadło, ale równie niemieckie słowa: proboszcz (der Probst) i wójt (der Vogt) pozostaną nietykalne. Jest tych obcych słów w naszej mowie liczne tysiące. Jesteśmy gościnni nawet pod tym względem.

PRÓBY ZBOGACENIA POLSKIEGO JĘZYKA

Trudność z bogacenia polskiego języka nowymi słowami widzieli dokładnie niektórzy nasi pisarze i starali się temu przeciwdziałać. Najbardziej świadomej i żmudnej pracy w tym kierunku podjął się Żeromski.

Widząc, że nie można sobie łatwo poradzić w teraźniejszości, że życie samo a nie uśłowian pojeźdźczego człowieka tworzy słowa nowe jak narty, wrotki, spadochroniarz, sięgnął do mowy polskiej z tych czasów, gdy naród nasz rolniczo-myśliwski był w ciągłej styczności z nieopanowaną jeszcze przez człowieka przyrodą. Sięgnął jak do lamusa, do skarbcza po dawno już nie używane, ale cenne klejnoty.

Jednakże rezultat jego pracy w tym kierunku dał nikłe wyniki. Dziś cywilizacja, jej wynalazki, udogodnienia odsunęły nas, odgrodziły od przyrody. Przesuwamy się obok niej, jakby zamknięci w limuzynie — od miejsca naszej pracy: fabryki, warsztatu, sklepu do bloku mieszkaniowego, domu, chatki, aby odpocząć.

Naturę mamy w doniczkach, krajobraz znamy z obrazów, z fotografii wiszących na ścianach naszych mieszkań. Tak jest w miastach, do których dąży dziś ludność wsi po zarobek. Wobec wzrastającego uprzemysłowienia, następuje urbanizacja całego kraju.

Zapomniane więc, niepotrzebne stały się słowa, związane z pewnymi rzeczami, stanami, czynnościami. To są już trupy i nikt ich wskrzesić nie zdoła. Takie zaś słowo z tych dawnych czasów, jak nieciecz, razi swoją brzydota.

Podobną próbę zrobił i Tetmajer z tym samym prawie rezultatem. W jego przepięknym wierszu, który brzmi jakby jakaś sonata szopenowska: "Na Anioł Pański biją dzwony" jest: "Zaduma polna osmętnica" oraz: "na wód topiele i rozchwieje". Ta osmętnica i te rozchwieje nie razi nas, są nawet przepiękne, ale tylko w tym wierszu i tylko użyte przez Tetmajera. Dla nas są one nietykalne, — użyte w naszej mowie sprawiłyby przykre wrażenie na słuchaczach.

A więc, dajmy sobie spokój. Niech nowe słowa dla polskiego języka rodzą się same, w miarę rozwoju naszego życia, jego wynalazków i ulepszeń.

STYL NASZYCH PISARZY I POETÓW

Przejdźmy obecnie do słów użytych w zdaniach oraz do łączenia tych zdań w jednostki większe i różne co do treści i formy zewnętrznej. Zastanówmy się więc nad tym, co się nazywa stylem pisarskim oraz jego przejawem w twórczości naszych pisarzy i poetów.

Większość ich pisała, nie przeprowadzając specjalnych badań nad prawidłami dobrego stylu. Jednym z pierwszych naszych pisarzy, który starał się sformułować prawidła dobrego stylu, był Bolesław Prus.

Po śmierci Prusa znaleziono w jego notatkach nawet wskazówki używania języka artystycznego. Jest w nich twierdzenie: "W dobrym stylu powinno być dużo rzeczowników konkretnych. Liczba czasowników może być mniejszą niż polowa rzeczowników".

Znakomita pisarka czasów obecnych, Maria Dąbrowska, w przedmowie do ostatniego wydania dzieł Prusa powołuje się na powyższe orzeczenie, mówiąc: "To nie jest oczywiście prawo absolutne dobrego stylu. Nasza epoka dobry styl znajdowałaby może raczej w zdaniach o dużej ilości czasowników."

Mamy więc dwa sprzeczne z sobą twierdzenia, nie oparte jednak na żadnych przesłankach. Tymczasem rozwiązanie powyższego zagadnienia jest proste. Mamy przecież zarówno w prozie jak i poezji ustępy dramatyczne i liryczne. Ponieważ podstawą dramatu jest działanie, a ekspozycja etymologiczną tego działania — czasownik, dominuje on, wysuwany jest na plan pierwszy w ustępach dramatycznych. Dominuje zarówno co do ilości, jak i napięcia, mocy. Stoi zwykle na początkach szeregu następujących po sobie zdań, jak akordy we frazesach muzycznych, wzmacniany często przysłówkiem, który gra wtedy rolę jakby pedalizacji danego akordu — czasownika.

Specjalnie zaznacza się akordowość ustępów dramatycznych w twórczości Żeromskiego. Opowiadanie np. Tani z "Urody Życia", o zabiciu przez nią Polaka — szpiega rosyjskiego, to cały szereg zdań, zaczynających się czasownikami. Opowiadanie to tak jest nimi nasycone, że przy czytaniu

DWIE KSIĄŻKI

JEDEN Z 3.653 DNI IWANA DENISOWICZA

Literatura, poświęcona życiu w obozach koncentracyjnych, jest bardzo bogata. Książka Alexandra Solżenitsyna "Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza", — opisująca przejścia więźnia w syberyjskim obozie, — to dokument, stwierdzający ponad wszelką wątpliwość, że nie było na przestrzeni wieków, takiej karni, jaką zgotowali swoim ofiarom Niemcy, podczas ostatniej wojny. Obóz syberyjski, w którym przebywał bohater opowieści, to wcale przytulny czyścić w porównaniu np. do oświęcimskiego piekła.

W chwili wybuchu wojny, autor książki liczył sobie 23 lata.

W 1941 roku został powołany do wojska, gdzie pełnił funkcję oficera artylerii. Dwukrotnie otrzymał odznaczenia za odwagę. W 1945 r. został aresztowany. Normalna kara dla wszystkich aresztowanych podówczas, wynosiła 10 lat zesłania. W r. 1949, podwyższono ją do 25 lat.

Wyroki te, nie miały znaczenia, albowiem nikt nie wrócił do domu po odsiedzeniu kary. Byli tacy szczęśliwcy, którym po terminie kary, pozwalano osiedlać się w pobliżu obozów, poza obrębem drutów kolczastych. Dzieje autora, to dzieje Iwana Denisowicza Szukowa.

Za co go aresztowano i skazano? Otóż pod koniec 1942 r. Iwan wraz z kilkoma towarzyszami, dostał się do niewoli niemieckiej na froncie północnym. Małej grupce jeńców udało się zbiec. Kilku z nich zabito kiedy się już zbliżali do linii sowieckich. Iwan — ocalał.

— Udało ci się uciec? — zapytał go oficer NKWD. — To niemożliwe. Uciekłeś przy pomocy Niemców. Jesteś szpiegiem!... 10 lat.

Kolega jego w obozie, kapitan marynarki Bujnowski, otrzymał 10 lat za co innego: w czasie konwojów z Anglii do Archangielska, przydzielono go jako oficera łącznikowego na brytyjski krążownik. Zaraz po wojnie admirał brytyjski, przysłał mu prezent i list.

"Proszę przyjąć ten upominek z wyrazami wdzięczności..." — pisał admirał.

Za tę wdzięczność Bujnowski zapłacił wolnością. Z punktu widzenia literackiego książka jest — słaba.

Jest to rodzaj dziennika pisanego przez reportera.

Rozgłos jakim się cieszy, spowodowany jest tym, że w obozie mogła się ukazać w Sowietach.

Dzień więźnia, — od rana do nocy, — opisany jest drobiazgowo.

Tu schował pod "fufajkę" kromkę chleba, tam oszukał kucharza i wziął drugą porcję zupy, tu wycygał od kolegi trochę tytoniu, tam starał się symulować chorobę, aby uniknąć wyjścia do pracy na budowie.

Strażnicy obozu naogół bezbarwni. Cierpią razem z więźniami, zimno na wieżyczkach strażniczych dokucza im bardziej niż pilnowanym. Jedynym typem — zresztą nie całkiem rasowego — gestapowca, jest lejtenant Wołkowiec, stalinowiec - służbista.

Jest jednak postać w książce, godna zastanowienia. Zdziwiał to, że cenzura nie wymazała jej z kart opowiadania.

Alosza, osiemnastoletni chłopiec, Ukraińiec, którego zamknięto w obozie za to, że nosił do lasu mleko partyzantom Bandery.

Alosza należy do sekty baptystów. Przepisał sobie biblię z którą się nie rozstaje. W przeciwieństwie do ponurego otoczenia, jest zawsze uśmiechnięty, prawie, że wesoły. Pomaga wszystkim. Wiara w Boga, promieniuje z tego chłopca.

Iwan Denisowicz jest sceptykiem. Opowiada Aloszy o zawrotnych zarobkach popa w jego rodzinnej wsi.

— Po co mi o nim mówisz? — pyta Alosza. — Nasz kościół prawosławny, oddalił się bardzo od Ewangelii. Nie zamykają popów w obozach tak jak nas, gdyż nie posiadają oni prawdziwej wiary...

— Gdybym się modlił, nie wiem jak gorąco, — ciągnie Iwan, — to i tak mnie stąd nie wypuszczą.

— Powinieneś się radować, że jesteś tutaj — odpowiada Alosza. — To jest miejsce w którym możesz pracować nad zbawieniem swojej duszy.

— Dobrze ci tak mówić, bo jesteś pewien, że Chrystus cię tu posłał. Ale ja za co cierpię? Jaki grzech popełniłem?...

Przysłuchujący się tej rozmowie inny więzień, podszedł do Aloszy i dał mu kawałek cukru.

Iwan Denisowicz, zasypiał tego wieczoru przepojony dziwnym szczęściem. Nic nie zakłóciło tego jednego dnia jego życia...

Ukazanie w świeckiej powieści, człowieka głęboko wierzącego i uczynienie z niego najpiękniejszej postaci dramatu, jest, — śmiało to można powiedzieć — zdumiewające.

"Jeden dzień Iwana Denisowicza" — rozszedł się w Rosji w setkach tysięcy egzemplarzy. Wydaje się, że tego rodzaju utwory, stanowić będą mocną zaporę na drodze powrotu do dawnych czasów.

Zezwolenie na opublikowanie tej książki, było posunięciem taktycznym Chruszczowa przeciwko — stalinowcom.

Za późno już na to, żeby publikację odwołać.

Jeśli by następcą Chruszczowa został stalinowiec, nie będzie miał łatwego życia.

Odrodzone NKWD będzie miało przeciw sobie, miliony sowieckich obywateli, myślących tak samo jak — Alosza.

Ręka z... kawałkiem cukru, nie wyciągnie się ku Kremłowi. (hp)

Mowa polska...

przychodzi nam na myśl XX-akordowe Preludium Chopina:

W umuzykalnieniu prozy polskiej idzie Żeromski jeszcze dalej, łącząc nieraz czasownikowe akordy w taki sposób, jakby nimi rządził kontrapunkt muzyczny, nie składnia języka.

Jako charakterystyczny przykład weźmy zdanie z "Popiołów": — "Przekreślona jest potęgą miecza i zmaszana". Zmienimy porządek słów w tym zdaniu, — sens pozostanie ten sam, cały jednak efekt umuzykalnienia zniknie prawie bez śladu.

Inaczej przedstawia się umuzykalnienie w ustępach lirycznych, w których dominuje nastrój. Tam żądanie Prusa co do rzeczowników konkretnych ma swe logiczne uzasadnienie. Wtedy czasowniki jakby kryją się w cieniu rzeczowników. Umuzykalnienie tych ustępów otrzymujemy przez użycie słów onomatopeicznych.

Żeromski urozmaica ten nastrój liryzmu przez wprowadzenie elementu życiowego do pewnych objawów, otaczających nas przyrody. Woda, nawet bieżąca u większości pisarzy jest niema. Szmerze ona, pluszcze, bełkocze, ale bez słów. U Żeromskiego woda mówi, gra i śpiewa. Przypomnijmy sobie końcowe ustępy "Syzyfowych Prac" i piosenkę wody źródlanej w parku, dokąd Borowiec chodził przed egzaminami przy końcu studiów gimnazjalnych. Są podobne motywy i w "Popiołach". Pilni czytelnicy tego pisarza znajdą je łatwo.

A może Wam dopomóc? — Spróbuję.

Oto "Szlak Cesarski", pierwszy rozdział III tomu "Popiołów" i jego zakończenie: "Z dzikiego huk, ze zgiekłego chaosu..."

... coraz wyżej wydobywał się głos goły, ni to solo dalekie, ni to wieszczba o sprawach przyszłych, ni to pienie o dziejach przeszłości. Otchłań wodna wznosiła ten psalm..." itd.

Ale nie tylko woda gra i śpiewa Żeromskiemu. Mówią mu coś poruszane powiewem wiatru drzewa, ich gałęzie, a nawet obumarłe już, pożółkłe, spadające jesienią liście, szepcą mu tajemnicze słowa przyszłości.

Sam Żeromski uwielbiał muzykę, uważając ją jako sztukę nadrzędną, stawiając ją nawet wyżej od twórczości literackiej. Dlatego też dzieła jego odznaczają się pięknym, przedziwnie wprost zharmonizowanym językiem.

Widać w tym wpływ nie tylko wrodzonego talentu, ale świadomej, mozolnej pracy. I to jest jedna z przyczyn poczytności jego spuścizny literackiej, mimo, iż nie ma w niej usiłowań pokrzepiania serc.

(Dokończenie nastąpi)

KAZIMIERZ RUDNICKI



Jerzy Putrament, znany pisarz polski, podpisuje na Kiermaszu Książki w Warszawie swoją książkę p. t. "Wojna."

KILKA SŁÓW PRAWDY

Kiedy dziesiątki pisarzy na zachodzie, pracuje w pocie czoła, aby wybielić Niemców; kiedy czerstwy, wypasiony piewosz, z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię i kieszeniami wypchanymi "mocną" walutą federalną, stał się nieodzowną częścią krajobrazu najdroższych miejscowości wycieczkowych; kiedy zginają się przed nim w palak hotelarze kelnerzy i taksówkarze w oczekiwaniu tłustego napiwku; kiedy fala gorącej sympatii zamula coraz szybciej dzieje lat ostatnich i pogrąża w niepamięć dzieło narodu, który był zaprzeczeniem człowieczeństwa *warto zarotować myśli tych — bardzo nielicznych — autorów angielskich i amerykańskich, którzy zmywają w swoich utworach szminkę z oblicza dobrotliwego — Niemca.*

Oto wyjątek z książki A. Waugh'a, — *Amerykanina* — zatytułowanej: "Wyspa w słońcu".

Rzecz się dzieje na wyspie, na morzu Karaibskim, która należy do Wielkiej Brytanii. Osoby, — zresztą drugoplanowe w powieści, — to emerytowany pułkownik Carson, oraz miejscowy doktor, Niemiec, który przyjął obywatelstwo brytyjskie, Leischning. Scena: bar miejscowego klubu. Początek akcji: str. 160 książki.

Pułk. Carson, prosi dr Leischninga o danie wyjaśnień w sprawie zajścia z adwokatem — Murzynem.

L. — Ja jestem bardzo zajęty człowiekiem. Oprócz szpitala mam prywatnych pacjentów. Było by zupełnie wystarczające abym udzielił wyjaśnień u siebie w domu.

C. — To musi być bardzo przyjemne uważać się za ważną osobę i tak wysoko cenić swój czas.

L. — Na pewno szkoda mi go tracić na zajmowanie się jakimś kolorowym, młodym prawnikiem.

C. — W każdym razie jest on Brytyjczykiem.

L. — Co to znaczy...

C. — Znaczy to, że to jest jego kraj i kraj jego przodków. Znaczy to, że od chwili emancypacji, od stu lat, tak on, jak i jego naród wychowują się w kraju, gdzie panuje prawo. Jego narodowość nie liczy się na miesiące czy tygodnie...

L. — Pan chce mnie obrazić?

C. — Ja? Nie wiem. Ja mówię panu prawdę. Pan powinien się uważać za bardzo szczęśliwego: zgodzono się panu pozwolić żyć w takim społeczeństwie. Każdego wieczoru i każdego rana powinien pan dziękować Stwórcy na kolanach, że może się pan cieszyć ochroną prawa i wolnością.

L. — Ja jestem obywatelem brytyjskim.

C. — Ach, ja o tym wiem, że pan nim jest. Istnieje takie amerykańskie powiedzenie: "A ten Jaś to przyszedł późno". Gdyby pan i pańscy rodacy osiągnęli swój szczytny cel nie byłoby brytyjskiego prawa i brytyjskiej wolności poza którymi można się chronić.

Carson nie był pijany. Wypowiadał wszystko głosem spokojnym i opanowanym. Wewnętrznie, czuł w sobie — śmierć. Rana, odniesiona podczas walk w Afryce, zaczęła go boleć ponownie. Pomimo wszystko znajdował przyjemność w tej rozmowie. Jeśli ten szkop o kanciastej głowie chce się z nim bić, to służy mu z największą radością. Ci podli Niemcy. Jakże on ich nienawidził! Oni to zniszczyli życie milionów ludzi.

Aroganci w epoletach. Brząkający szablą inspiratorzy wojen. Oni to zrujnowali życie pokoleniu jego ojca. Oni to zrujnowali jego własne życie. Carson przytknął oczy. Jakże wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby ich nie było. Nie utraciłby żony, przekłeta rana nie mordowałaby go co dnia. Byłby teraz w Anglii, w sile wieku, miałby swój pułk. Dom... żonę... dzieci... Byłby żył jak człowiek. Jak Anglik. Przez tych lajdaków zmuszony był emigrować do tej zapadłej kolonii i być tutaj właściwie — niczym. I oto taki lotr, jeden z tych, którzy przyczynili się do jego klęski, stoi w tej chwili przed nim i oburza się, że ośmielono go się poprosić o danie wyjaśnień.

L. — To co pan powiedział jest krzyżącą niesprawiedliwością. Nikt bardziej nie oponował przeciwko rządowi Hitlera ode mnie!...

C. — W jaki sposób pan oponował? O ile wiem nie zamknęli pana w obozie koncentracyjnym.

L. — Dlaczego by mnie mieli zamknąć? Nie jestem Żydem!

C. — Byli tacy Niemcy, nie Żydzi, których jednak zamknęli.

L. — Pozwolę sobie panu przypomnieć, że ja nie jestem Niemcem, ale Austrijakiem.

C. — Austrijak, a nie Niemiec! Zawsze to samo. Nie Prusak tylko Rawar. Nie nazista tylko liberal! nie Niemiec tylko Austrijak. Ale jak Hitler zwyciężał to czuł się pan doskonale. Kiedy przysyłał wam z Francji i Belgii to co nagrał; kiedy was karmił i napychał kieszenie łupem, kiedy pan obrastał w tłuszcz, to pan nie protestował. Zmieniło się wszystko kiedy zaczął przegrywać bitwę po bitwie, kiedy miasta waliły się w gruzy pod bombami, kiedy głód zajrzał w oczy. Wtedy pan został — Austrijakiem. Osobiście nie żywie wiele uznania dla patriotów "dobrej pogody". Stare angielskie powiedzenie mówi:

"Moja Ojczyzna. W szczęściu, czy nieszczęściu".

L. — Tego już za wiele!...

C. — Za wiele? Ja tak nie myślę. Kiedy mój ojciec bił się podczas t. zw. wojny Kaisera, przyjęło się pośród naszych żołnierzy powiedzenie:

"Jest tylko jeden dobry Niemiec. Ten który już nie żyje".

Już od dłuższego czasu, w sali klubowej, panowała martwa cisza. Wszyscy obecni patrzyli na Carsona. Jego samego opanowała radość. Nareszcie mógł powiedzieć to co chciał. Dalej, mówił spokojnie, jakby prowadził towarzyską rozmowę. Następnego dnia nikt nie mógł by powiedzieć, że był pijany lub też, że choć na chwilę stracił panowanie nad sobą.

C. — Mówiąc o tym, że tylko trup potrafi być dobrym Niemcem, nie mam na myśli tych, którzy się bili pod Stalingradem, czy w Afryce. Jako żołnierz umiem ocenić odwagę. Szanuję marynarzy, którzy toną razem z okrętem. Nie mogę tego powiedzieć o tych, którzy zapierają się swojej ojczyźnie, kiedy sytuacja nie wygląda różowo.

L. — Panie, ja protestuję... Może pan mówić co pan chce o mojej ojczyźnie, ale pozwolę sobie panu zakomunikować, że tam człowiek obrażony bił w twarz swojego przeciwnika i wyzywał go na pojedynek. Niech pan patrzy: oto dowód!

Leischning wskazał szramę na swoim policzku.

C. — Wy i wasze szramy! Ja je nazywam szramami zadanymi sobie własnoręcznie. Oto są nasze szramy.

Carson szybko odpiął pasek i opuścił prawą stronę spodni, ukazując potworną ranę. Kula wyrwała mięsień poniżej biodra. Zaczerniewiona skóra pokrywała w jednym miejscu tylko — kość.

C. — To pamiątka pojedynku pod El Alamein. Możesz pan klęknąć i ją pocałować. Panie i panowie, przepraszam za moje zachowanie. Dobranoc...

Zdrowie autora, Alec'a Waugh'a, wypilem ostatnimi kroplami posiadanej "Zubrowki".

Smetny epizod: bijącemu się w Afryce pułk. Carsonowi, zbalamucil i ukradł żonę, przybyły do Anglii — Polak. Kto wie, może go nawet — znałem?... (hp)



Klub studentów Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Na zdjęciu pierwszy wieczór w piwnicy studenckiej.

WSPANIAŁA WYCIECZKA ZIMOWA DO POLSKI

Za niecałe tysiąc dolarów przeszło dwa miesiące w podróż.

Część należności za wycieczkę rozłożona na raty

"Przegląd Polski" wspólnie z Biurem Podróży "Passatours" urządza wspaniałą wycieczkę do Polski. Wyjazd 26 listopada br., powrót 6 lutego 1964 r. Oto program wycieczki:

Wyjazd luksusowym statkiem pasażerskim "Charles Tellier" z Santos 26 listopada br., z Rio de Janeiro — 27 listopada. Przybycie do Hawru dn. 12 grudnia, skąd tego samego dnia odjazd pociągiem do Paryża. Od 12 do 18 grudnia pobyt w Paryżu (program specjalny). Dnia 18 grudnia wyjazd do Polski, przybycie do Warszawy dn. 20 grudnia. Od 20 do 27 grudnia wolny czas dla uczestników wycieczki na odwiedzenie krewnych i spędzenie w kółku rodzinnym świąt. Od 28 grudnia br. do 2 stycznia 1964 pobyt w Warszawie wraz z zabawą sylwestrową (koszt wliczony do kosztów wycieczki). Od 2 do 10 stycznia wycieczka po Polsce ze zwiedzeniem Zakopanego, Krakowa i Poznania. Odjazd do Berlina 11 stycznia, pobyt w tym mieście połączony ze zwiedzaniem do 14 stycznia. 14 stycznia odjazd do Hamburga, 15 — powrót do Brazylii luksusowym statkiem "Laennec", po drodze zwiedzanie Antwerpii (Belgia), Hawru (Francja) Vigo (Hiszpania) i wyspy Madera. Dnia 5 lutego przybycie do Rio de Janeiro, a 6 lutego do Santos i rozwiązanie wycieczki. Podróż w klasie turystycznej w kabinach 4-6 osobowych z dostępem do pomieszczeń klasy pierwszej. Posiłki według jadłospisu klasy I.

Zgłoszenia w administracji "Przeglądu Polskiego". Caixa Postal, 4.530 - São Paulo. Na żądanie wysyłamy szczegółowe informacje. Informacji w Kurytybie udziela inż. Henryk Kujawa.

WARSZAWSKA STAL

Czerwono-kremowy autobus komunikacji miejskiej dojeżdża niemal pod bramę stalowni huty "Warszawa". Wzdłuż ulicy Kasprówicza, łączącej kombinat metalurgiczny z miastem, wyrastają długie szeregi kolorowych bloków mieszkalnych. W oknach widać już firanki, za szybami widać tradycyjne, warszawskie doniczki z pelargoniami i kaktusami.

Ulica, autobus, zamieszkałe domy — to najlepszy dowód, że miasto wiąże się z nowym zakładem przemysłowym, z tą największą w Polsce hutą stali szlachetnej.

Miasto urywa się nagle przed ośnieżonym teraz, ochronnym pasem. Wiosną i latem na sześćsetmetrowym trawniku znów zakwitną kwiaty, zazielenią się krzewy. Te 600 metrów, to tak zwany pas izolacyjny, dzięki któremu ani kurz, ani hałas z huty nie docierają do miasta, do jego najbliższych nawet domów.

Tak jest na tym przedmieściu Warszawy, na Młocinach, na dawnych nieużytkach i łakach, gdzie w ciągu minionych ośmiu lat zbudowano od fundamentów kolosa polskiej metalurgii.

Warszawska huta, to jeden z wielu zakładów przemysłu ciężkiego, które od nowa, od podstaw wzniesiono w Polsce w ostatnich latach. Warszawska huta ma jednak specjalne znaczenie. Tutaj przecież wytapia się wysokostopową stal, potrzebną na przykład do produkcji wałów korbowych samochodów czy traktorów; tutaj wytapia się stal z domieszką wolframu lub molibdenu, takie gatunki jakich potrzeba do produkcji precyzyjnych obrabiarek czy narzędzi w warszawskich fabrykach.

Z wielkich, 45 tonowych elektrycznych pieców w stalowni co kilka godzin spływają nowe porcje stali. W ciągu roku — 300 tysięcy ton. Jeden wytop trwa niespełna 150 sekund. Pomnóżcie, proszę, sekundy, wyliczcie ile to razy na dobę pochylać musi się piec, by dać każdego dnia zaplanowaną stal...

Tak to jest dzisiaj. Pracuje stalownia i prasownia, ruszyły potężne zgniatacze walcowni. Rytmicznie pracuje 80 obiektów kombinatu, który rozsiadł się na ponad 160 hektarach dawnych młocińskich ugorów.

Diugo zastanawiano się, gdy już zapadła decyzja, że trzeba wybudować ten zakład — gdzie zlokalizować nową hutę. Na Śląsku, w tradycyjnym zagłębiu polskiego przemysłu, nie ma już miejsca. Istniejące huty, kopalnie i inne fabryki zajęły każdy skrawek; nie ma też na Śląsku wolnych rąk do pracy.

O tym, że "Warszawa", stanęła właśnie w Warszawie, na jej północnym przedmieściu, zdecydowała... woda. Na każdą tonę szlachetnej stali trzeba bowiem w produkcji zużyć 30-40 ton wody. A jest jej tutaj pod dostatkiem — Wisła płynie przecież niemal tuż obok kombinatu.

Ziemia tu była kiepska, słabo dawała urodzaje. Ludzie z sąsiednich wiosek — bo choć niby Warszawa, niby tereny należące formalnie do stolicy, ale właściwie głucha, biedna mazowiecka wieś — szukali pracy i chleba w mieście. Nie zawsze było o tę pracę łatwo. Wielu stąd, z Młocin, z Wólki Węgowej czy Wawrzyszewa wędrowało za zarobkiem po całym kraju, niejednemu los rzucił też daleko od stron ojczystych.

Ale po wojnie wciąż więcej trzeba było rąk do pracy, by dźwignąć z gruzów zniszczoną Warszawę. A teraz pięć tysięcy ludzi pracuje w warszawskiej hucie. To ich dzieło te 300 tysięcy ton najlepszej, najwyższego gatunku stali. Z tych 5.000 ledwie 300 widziało parę lat temu hutę własnymi oczami... Ale dziś nauczyli się nowej roboty, poznali jej znaczenie.

Wrócił np. z Francji Marian Loszek — dziś garowy w stalowni warszawskiej huty, a przez wiele lat ślusarz w kopalniach zagłębia Norde. Wrócił — gdy budowano tę hutę — Tomasz Kameł, którego los zaprowadził na Śląsk, do pracy w walcowni blachy "Silesia". Przyjechał do Warszawy, do domu, jako fachowiec jak się patrzy. On i trzy setki takich jak Kameł, to dziś trzon warszawskiej, hutniczej załogi. Nie było im łatwo. Jeden z warunków, jakie stawia się każdemu pracownikowi huty, nawet i takiemu, który wykonuje najprostszą czynność, to ukończenie co najmniej szkoły podstawowej. Mniej więcej co 51 pracownik legitymować musi się dyplomem technika. Inaczej nie daliby sobie rady ze skomplikowanymi, automatycznymi urządzeniami...

Wraz z kombinatem, zaprojektowanym przez polskich inżynierów, na przedmieściu Warszawy, na Bielanych wyrosło w ostatnich latach całe hutnicze miasteczko. Mieszka w nim, w nowych osiedlach, ponad 10 tysięcy ludzi. Załoga huty z rodzinami. Przenieśli się tu z drewnianych chałup Wawrzyszewa, przeprowadzili z Pogorzelska, do których nie było nawet drogi...

Nie jeden ledwo umiał podpisać się... Nie jeden myślał, że "jakoś to będzie". Ale większość, gdy poznała rozmach huty, gdy obserwowała maszyny sprowadzone do kombinatu z zagranicy pojecha — bez nauki nie da rady.

Cieężko było siadać po robocie w świetlicy i uczyć się. Ale teraz — nie ma w warszaw-

skiej hucie ani jednego, który nie skończył podstawowej szkoły. Na naturalnych kursach w tej chwili kształcą się ponad 400 robotników. A ci, co wierzyli, że "jakoś to będzie" musieli odejść z kombinatu. Ważna jest wiara we własne siły, ale ważna też kwalifikacje, to co ma się w głowie...

Te cenne kwalifikacje reprezentują też starzy doświadczeni hutnicy.

Huta wrasta w miasto. Jej załoga, młoda, bo większość z kombinatu, to ludzie, którzy nie przekroczyli 30 roku życia, coraz mocniej oddziaływuje na Warszawę. Rozrastają się hutnicze rodziny. Tu ktoś się żeni, tam wydaje córkę za mąż. Rozrasta się hutnicza tradycja — jeszcze świeża, niedawna, jak młoda jest warszawska huta.

Młoda, ale już okrzepła. Już wiele znaczący tymi 300 tysiącami ton stali. A będzie tej stali znaczenie więcej. Teraz, kiedy 80 zakładów pracuje normalnie, rytmicznie, "zwyyczajnie", teraz, kiedy 5000 ludzi poznało swe zadania i znaczenie — można przystąpić do drugiego etapu budowy "Warszawy".

Wytoczono już granice. Wyznaczono miejsca, gdzie stanie druga stalownia, następne martenowskie piece, walcownie i odlewnie. Więcej potrzeba stali na samochody i okrętowe silniki, na frezarki i maszyny. Roboty zaczną się, gdy tylko ustąpi mróz i śnieg. Na wiosnę znów wyruszą spychacze i koparki. A za parę lat "Warszawa" dawać będzie przeszło dwukrotnie więcej stali, 650 tysięcy ton rocznie.

Na Młociny znów przyjdą następni młodzi ludzie z Mazowsza, z Podlasia. Przyjdą uczyć się nowej pracy i topić wciąż więcej warszawskiej stali.

Dariusz Piątkowski

SEZAMY POLSKIEJ GEOLOGII

Główny Urząd Planowania Przestrzennego w Warszawie wydał w 1946 i ponownie w 1947 r. Atlas Ziemi Odzyskanych, który na 39 mapach nie tylko podaje o tych ziemiach wszechstronne informacje fizyczne, lecz także obrazuje skutki wojny oraz osiągnięcia pierwszego okresu powojennej odbudowy, zmiany w zaludnieniu, a nawet stan szkolnictwa i rozwój spółdzielczości. W intencji wydawców Atlas miał być "swojego rodzaju dokumentem rezultatów pracy, które osiągnięto w niezwykle ciężkich warunkach powojennych".

Większość map dzisiaj ma już istotnie wartość tylko dokumentu. Odbudowa miast i wsi, prawie dwukrotny wzrost ludności, powstanie nowego przemysłu — wszystko to gruntownie zmieniło oblicze ziem nad Odrą i Bałtykiem. Aktualność zachowały jedynie mapy fizyczne — te które wskazują niziny i wzniesienia, sieć wodną, morfologię, regionalny klimatyczny i zalesienia. Nadal też aktualna jest mapa gleb. Ale następna, siódma z kolei tablica: "Bogactwa mineralne" — jest już dzisiaj zupełnie bezwartościowa. Redakcja Atlasu opatrzyła ją następującym objaśnieniem:

"Bogactwa mineralne skupiają się prawie wyłącznie na terenie Śląska, pozostałe obszary posiadają tylko trochę węgla brunatnego, glin, piasku i kamieni. Poważniejsze znaczenie gospodarcze mają złoża węgla kamiennego na Górnym i Dolnym Śląsku, rudy cynku i ołowiu w okolicy Bytomia, węgiel brunatny na zachodnim potroczu, dobre materiały ogniotrwałe oraz duże zasoby kamieni budowlanych (granit, bazalt) w południowej części Dolnego Śląska.

Prócz tego na Śląsku istnieją drobne ilości innych bogactw mineralnych bez większego znaczenia gospodarczego, jak rudy żela-

za, miedzi, niklu, arsenu, gips, baryt, kaolin itp.

Na Ziemiach Odzyskanych nie znaleziono ropy i soli potasowych".

Nie znaleziono?

Przypomnijmy tu, że drugie wydanie Atlasu wyszło w grudniu 1947 roku, a więc już w dwa i pół roku po wojnie. Jest rzeczą zrozumiałą, że autorzy mapy "Bogactwa mineralne" musieli się oprzeć na opracowaniach niemieckich. Dolny Śląsk wraz z częścią Ziemi Lubuskiej Prusy wydały Habsburgom w 1741 r. i od tego czasu ziemię tę stały się obiektem badań uczonych niemieckich, którzy zwłaszcza w ciągu ostatnich stu lat przeszukiwali je z nakładem ogromnych środków. Jeśli więc autorzy Atlasu stwierdzają, że "nie znaleziono ropy" — oznacza to, że nie znaleźli jej Niemcy.

Polskim geologom wystarczyło kilkanaście lat na dokonanie odkryć, które wprost kompromitują przysłówicową już niemiecką dokładność. Polscy geolodzy znaleźli ropę w rejonie Krosna Odrzańskiego na Ziemi Lubuskiej, olbrzymie złoża rudy miedziowej pod Lubinem, węgla brunatnego pod Legnicą i Ścinawą na Dolnym Śląsku i wiele, wiele innych bogactw mineralnych.

Wszystkich tych odkryć, łącznie z tarnobrzeską siarką, kłodawską solą, leżyczkim żelazem i lubaczowskim gazem, geologia polska dokonała dzięki systematycznym wszechstronnym badaniom podstawowym, które obejmują kartografię geologiczną, badania struktur węglanych, badania stratygraficzne, petrograficzne, geochemiczne i geofizyczne. Badaniami tymi objęto cały kraj i dzięki nim geolodzy zorientowali się, jakie surowce kryje w swoim wnętrzu ziemia w poszczególnych okolicach. Cały też kraj pokryto sie-

„Coisas de nossa terra”

A receita tributária da União apresenta um panorama em ascensão, de qualidades e formas impressionantes.

Segundo dados fornecidos pelo I.B.G.E. a diferença entre a arrecadação do exercício de 1960 para o exercício de 1962, é de 100 milhões de cruzeiros, atingindo assim este último exercício, a quantia de 386 bilhões e 800 milhões de cruzeiros.

Todavia, o paradoxo contábil persiste, tendo-se em vista que, segundo as estatísticas sempre mantemos em déficit orçamentário da ordem dos 200 e tal bilhões de cruzeiros.

Os tributos para a União, estão divididos entre os impostos de consumo, de rendas e proventos de outras naturezas, com o lamentável quadro do não cumprimento de inúmeros contribuintes, que sem a intenção endereçada, depreendam o nosso balanço orçamentário.

O tributo, sabemos nós, é dividido em imposto e taxa, sendo esta última, limitada apenas a determinados serviços públicos.

O imposto por si, significa a repartição das despesas públicas entre os indivíduos. É um tributo, uma taxa ou imposição que o Estado lança sobre rendas ou produtos, indo recair sobre cada indivíduo, proporcionalmente.

Segundo o significado em referência ao cidadão, os impostos são chamados de diretos ou indiretos.

O imposto direto, é aquele que recai sobre o produto da riqueza rústica, sobre os edifícios, as rendas de capital, as atividades profissionais, o exercício da indústria, bem como aquele que recai sobre a renda global do indivíduo.

O chamado indireto, é tão somente o imposto que grava o consumo privado dos cidadãos e a transmissão de bens.

Poderemos deduzir assim, que o imposto direto grava o indivíduo, o capital e a renda, e no segundo caso, apenas as circunstâncias.

Notamos assim, que em evidência dos fatos corriqueiros, que o imposto direto incide sobre a riqueza em si, adquirida ou em via de aquisição.

O imposto indireto por sua vez, incide sobre as operações em atos referentes à riqueza e aos seus movimentos e à sua utilização.

Assim, podemos afirmar que a finança dos grandes Estados modernos, repousa principalmente nos impostos diretos.

O dualismo direto e indireto, é necessário não só para assegurar a percepção efetiva do imposto, como a justa repartição dos encargos entre os contribuintes.

O imposto direto é teoricamente preferível, porém, não podemos condenar o indireto.

O direto sempre é mais vantajoso para o fisco, diante dos gastos de percepção reduzidos ao mínimo, em média normal três por cento.

Para o contribuinte sempre seria também preferível o direto, por ser mais justo e equitativo, mas o fato de incidir a taxa sobre cada indivíduo obrigando-o ao desembolso periódico das somas respectivas, cria no contribuinte do imposto, evidente intolerância.

Por outro lado, ao contrário, as imposições indiretas, cujas percepções se dão por ocasião das operações de compra e venda, são disfarçadas, não despertando no consumidor nenhuma oposição.

A partir da “capitação” ou imposto “per capita” usado em Roma, que gravava a todos os cidadãos independentes de sua renda, as formas deste imposto foram-se modificando, sem contudo deixar de existir.

Os chamados “poll - taxes”, dos Estados Unidos, atuante principalmente nos Estados do Sul, é o imposto que o Estado cobra, de cada indivíduo que desembarca no país.

Sabemos todos, que os Estados Unidos compreendem um país, no qual se processam numerosos, enormes e variados impostos.

Além dos impostos conferidos por nós, lá existem os impostos municipais e federais, que são pagos pelo cidadão em todas as suas atividades, quer de compra quer de venda.

Os impostos municipais naquele país, são cobrados também, juntos aos preços de cada produto adquirido pelo cidadão. Assim, todos os preços marcados, o que aliás é exigido, trazem já esclarecido que a ele, será acrescentada a importância correspondente ao imposto.

Por outro lado, há também centros comerciais localizados fora do perímetro urbano, em estradas, onde o cidadão poderá adquirir todos os produtos a ele necessários, sem o implacável “Plus Tax”.

É óbvio que em compras de abastecimento mensal, a economia será de vários dólares.

Ao lado de todas essas imposições de impostos municipais, estaduais e federais, estes três governos contraprestam serviços que o próprio cidadão administra.

O cidadão é ouvido. Ele tem pleno direito de reclamar até em plenário, expondo a sua opinião e o seu ponto de vista.

De imediato, os órgãos competentes nomeiam delegação que se encarregará de investigar e por fim, o problema é encarado de forma analítica e então ajuizado.

Como exemplo dessas obrigações dos poderes públicos com contraprestação de serviços, podemos citar o caso de buraco na via pública.

Este buraco, que dentro de espírito magnífico de nossa terra e de nossa gente é motivo das maiores gozações, “lá fora” é encarado com a mais irreverente seriedade.

As razões disso são simples.

Aquêle buraco pode significar e perda de vidas humanas, se houver acidente com qualquer veículo.

Assim, se um cidadão tiver seu veículo danificado em virtude de uma “cratera” na via pública, preliminarmente a prefeitura é acionada por danos e perdas.

Conclusão: — o órgão público sempre perde e paga.

Ora, se sabemos que os impostos e taxas são altas e criados a fim de fazerem face à todas as outras prestações de serviços dos poderes públicos à comodidade, ao Estado e à União, por que o cidadão não terá direito a reclamar e exigir mesmo o cumprimento exato pela conservação do patrimônio público, do qual ele contribuinte, é “condomínio”???

Os balanços orçamentários crescem vertiginosamente.

O número de funcionários públicos, segundo dados estatísticos, apresenta uma super colocação de 60%, o que será traduzido por déficit.

— Onde reside a falha?

— Qual a situação do cidadão perante a sua manutenção e a dos seus?

Nossa preocupação atual é a dívida externa, porém isso não impede a super colocação de funcionários públicos que se fosse reduzida para 40%, os serviços seriam os mesmos.

Por que a pauta do dia seja a majoração de salários, se por outro lado há o desabuso aumento de preços?

— Falta equilíbrio orçamentário.

— Falta boa vontade para os estudos contábeis de balança com “fiel” ZERO.

— Falta de empenho para os bons propósitos de humanidade.

— Falta BRASILIDADE.

Jamil Nami Cury

SEZAMY...

Dok. ze str. 25

cia głębokich wierceń, tzw. oporowych, przy czym niejednokrotnie świdry docierały na głębokość przeszło 3 tys. metrów. Na tej podstawie Instytut Geologiczny opracował mapę geologiczno-inżynierską, hydrogeologiczną, magnetyczną i grawimetryczną. Dla regionów szczególnie bogatych w kopaliny, jak np. dla Dolnego Śląska, opracowuje się te mapy w większej skali 1:25 000. Jest to ogromne osiągnięcie, oparte na podstawowych badaniach polskich, trzeba tu bowiem dodać, że Niemcy nie zdobyli się na opracowanie takiej mapy, choć przez całe ostatnie stulecie penetrowali i eksploatowali bogactwa skryte w ziemi dolnośląskiej.

Badania podstawowe w wielu wypadkach gruntownie zmieniły ustalony przez naukę niemiecką obraz budowy geologicznej polskich ziem zachodnich i północnych. Ma to zasadnicze znaczenie dla gospodarki narodowej, która dzięki temu zdobywa niezwykle cenne źródła surowcowe. Odkrywa złoża mineralne “przejmują” tzw. resortowe służby geologiczne i przedsiębiorstwa geologiczne podległe Centralnemu Urzędowi Geologicznemu. Rola, która przypada tym placówkom, polega na dokładnym rozpoznaniu i ustaleniu wszystkich geologicznych, hydrologicznych, geologiczno-inżynierskich oraz geochemicznych parametrów złoża i zawartej w nim kopaliny użytecznej. Zadanie to odnowiedzialne, gdyż od dokładności tych dokumentacyjnych opracowań zależy nomyślny przebieg budowy kopalni, tam zaś już w grę wchodzi miliardowe sumy.

Dzięki polskim uczonym zmieniają się więc nie tylko mapy geologiczne, lecz zmienia się także geografia gospodarcza Polski. Wystarczy tu wymienić turowski kombinat paliwowo-energetyczny, legnicki okręg przemysłowy oparty na miedzi i węgla brunatnym, rodzące się zagłębie naftowe na Ziemi Lubuskiej, a w innych częściach Polski — tar-nobreskie zagłębie siarkowe, kujawskie zagłębie rud żelaza, węgla brunatnego i soli itp. Na tym się zresztą rzecz nie kończy. Geologia polska szykuje dalsze niespodzianki, o których wkrótce będzie już głośno. Autorami niejednej niespodzianki będą młodzi pracownicy nauki Dolnośląskiej Stacji Tere-nowej Instytutu Geologicznego, którzy kończą już opracowanie geologiczne Dolnego Śląska. Zespół ten kontynuuje tradycje nestora polskiej geologii — prof. St. Doktorowicz - Hrebickiego, którego dziełem jest opracowanie geologiczne Górnośląskiego Zagłębia Węglowego. Jest to — jak dotąd — jedyne tego rodzaju opracowanie na świecie i żadne inne większe zagłębie węglowe nie może się taką monograficzną pracą wykazać!

W tym stanie rzeczy mapa bogactw mineralnych w Atlasie z 1947 roku jest już wyłącznie dokumentem historycznym. Dokumentem zresztą niezwykle cennym, obala on bowiem złośliwy męt o “połnische Wirtschaft”, a jednocześnie wykazuje, że na obszarach Nadodrza rozreklamowana Grundlichkeit nauki niemieckiej fatalnie zawiodła, albo że Niemcy — wbrew dzisiejszym twierdzeniom rewizjonistów — nigdy nie przywiązywali większej wagi do gospodarczych walorów ziem nad Odrą i Bałtykiem. Dopiero w polskim organizmie gospodarczym ziemię tę osiągnęły należny im awans. W wielkiej to mierze zasługa polskiej nauki, a w szczególności polskiej geologii, która górnikom otwiera drogę do ukrytych w ziemi skarbów.

ANTONI SPANDOWSKI

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

... W SÃO PAULO:

Dnia 9 czerwca w kościele N. A. Auxiliadora odbyła się uroczysta Msza święta za duszę Ojca Świętego Jana XXIII. Piękne przemówienie poświęcone pamięci Zmarłego wygłosił od ołtarza ks. kapelan dr Jan Kasprzyk. Przemówienie to podajemy osobno. Po nabożeństwie w sali Dom Bosco odbyło się zebranie, na którym przybyła z Polski siostra Czarlińska opowiadała o Zakładzie dla Niewidomych Dzieci w Laskach. Zebrani licznie rodacy zorganizowali doraźnie składkę na rzecz dzieci przebywających w Zakładzie.

W ramach współpracy kulturalnej Klubu 44 z "Alliance Française" prof. Roland Mourot wygłosił dn. 6 czerwca w siedzibie Klubu odczyt o malarstwie francuskim pt.: "Le cubisme — Braque". Sprawozdanie z tego odczytu podajemy w dziale: "Sztuka" naszego pisma.

W związku z obchodem Tysiąclecia Państwa Polskiego (Millenium) czynna była w dniach od 11 do 20 czerwca w salonach Klubu 44 wystawa książki polskiej, obejmująca wydawnictwa krajowe i emigracyjne. P. Wanda Dutczyńska użyczyła ze swej wytwórni na czas trwania wystawy dla upiększenia salonów klubowych artystyczną ceramikę. O wystawie podajemy osobną wzmiankę.

Dnia 20 czerwca miał miejsce w Klubie 44 wieczór czwartkowy, w czasie którego odbył się dalszy ciąg pokazu filmowego zorganizowanego przez Wandę i Mirosława Polenów. Tym razem pp. Polenowie pokazali dwa filmy z Indii i jeden z Hawajów. W pamięci widzów pozostało na trwałe piękny obraz Kalkuty, turyści stoni i dżungli indyjskiej. Podkreślić należy doskonałą fotografię, barwę i kompozycję filmów, które po dokonaniu fachowego montażu mogłyby się stać rewelacją na ekranach kin. Wyświetlanym filmom towarzyszyła ilustracja muzyczna z magnetofonu, składająca się z utworów wokalnych i orkiestralnych indyjskich i hawajskich. Wieczór pozostawił po sobie niezapomniane wrażenie.

Dnia 21 czerwca została otwarta w Klubie 44 wystawa malarstwa Haliny Drapińskiej. Sprawozdanie z tej wystawy podamy w następnym numerze.

(as)

... W KURYTYBIE:

Powołanie do życia I Forum Stowarzyszeń Polskich w Brazylii odbiło się głośnym echem w kołach polskiej grupy etnicznej, zulaszcza zaś w miejscowych kołach politycznych. W Forum uczestniczyło dwadzieścia stowarzyszeń. W szczerej wymianie zdań poruszono szereg zagadnień najbardziej pilnych i dotykających w zakresie życia kulturalnego, spróbowano też rozwiązać niektóre z tych zagadnień.

Prof. Bento Munhoz da Rocha Netto, znany socjolog i polityk, stwierdził w czasie przemówienia wygłoszonego na Forum: "Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, jako profesor uniwersytetu, że potomkowie Polaków oraz emigranci zamieszkujący 20 lat w Brazylii stali się pod względem kulturalnym Ibero-Brazylijczykami". Stwierdzenie to prof. Bento Munhoz poparł dowodami z dziedziny językowej, środowiskowej i kulturalnej. Podobnie wypowiedział się dr Bronisław Ostoja Roguski w swojej "Spowiedzi świadomości etnicznej", gdy oświadczył, że element polski zaklimatyzował się już i wtopił w życie kulturalne Brazylii.

Zalecenia I Forum mające na celu podniesienie poziomu działalności setek stowarzyszeń polonijnych na prowincji zostały wzię-

te pod uwagę przez Komisję Koordynacyjną, pozostającą pod przewodnictwem prof. Franciszka Dranki. Wielu przewodniczących stowarzyszeń zwróciło się już do Komisji z prośbą o przejrzenie ich statutów i podanie sugestii w sprawie ożywienia życia tych stowarzyszeń, które od wielu lat wegetują. Przygo-

PAPIEŻ JAN XXIII NIE ŻYJE

Podzwonne wygłoszone w kościele N. S. Auxiliadora w São Paulo
dn. 9 czerwca 1963 r.

Nie przebaczyłbym sobie, gdybym dziś do Was, Kochani Rodacy, nie mówił o ostatnim zdarzeniu, które wstrząsnęło całym światem wierzącym i niewierzącym, że Ojciec św. J A N XXIII odszedł od nas na zawsze w chwili, gdy nawet ten świat obojętny czy lekomyślny przyłączył się do gorących modlitw milionów wiernych, błagających niebios o powrót do zdrowia Tego, którego wszyscy bez wyjątku tak bardzo kochali, tak szczerze cenili, poważali i szanowali.

Od długich miesięcy męczył Papieża ten chyba najstraszniejszy wróg ludzkości, jakim jest choroba raka. Jeżeli wierzyć orzeczeniom lekarskim. Jan XXIII już po rekolekcjach, jakie odprawił na początku Adwentu 1961 zanotował uwagę: "Czuję w sobie początek jakiejś niedyspozycji. Pewnie to objaw starości. Znoszę te dolegliwości spokojnie, choć czasem są bardzo dokuczliwe a nawet niepokojące i budzą obawy, że mogą stać się coraz gorsze. Nie bardzo to miło myśleć o nich za wiele. W każdym razie na wszystko jestem przygotowany".

Mimo to Ojciec św. pracował bardzo intensywnie, kierując wszystkimi zagadnieniami, jakie przyniósł zwołany przez Niego II Sobór Watykański. Lecz mimo niezwykle silnego i odpornego organizmu, ta straszna choroba rzuciła Ojca św. w końcu na łożo ogromnej boleści, z którego ten Wielki Następca Chrystusowy już się podnieść nie miał i w końcu, po czterodniowej ciężkiej agonii, i nieopisanych cierpieniach w poniedziałek po Zielonych Świątach, wieczorem na 8 minut przed godziną 7-mą, przeniósł się do tego Chrystusa, któremu przez swoje 81 lat jak najwierniej służył, a ostatnie 4 lata, 7 miesięcy i 5 dni był Zastępcą na ziemi tak wybitnym i tak świątobliwym. Zgasł Jan XXIII cicho i spokojnie, skupiony w Bogu swoim, jak świeca, która się dopaliła, w chwili gdy na placu św. Piotra w czasie wieczornej Mszy św. 300 tysięczna rzesza, wpatrzona w okna apartamentów papieskich w żarliwej modlitwie wyczekiwała cudu. Lecz wyroki Boga były inne...

Gdyby jednak ktoś chciał ująć całokształt tego krótkiego pontyfikatu Jana XXIII, musiałby napisać tomy. Odszedł w momencie największych nadziei, że właśnie Jemu, jak dotąd nikomu innemu, uda się zbliżyć do siebie wszystkie owieczki w jednej owczarni pod jednym pasterzem. Głosu Jana XXIII słuchał świat cały z rosnącą życzliwością. Na Jego wezwanie nastąpił odzew wspaniały, w dziejach Kościoła niespotykany dotąd, bo chrześcijanie wszystkich kościołów, ołtarzy i wyznań spotkali się we wzajemnej życzliwości na rozpoczętym, wspaniałym w majestacie swoim II Soborze Watykańskim wokół Jana XXIII.

Wyłączna to zasługa zmarłego Papieża, Jego bezprzykładnej dobroci i życzliwości, Jego nad wyraz łaskawemu a z głębi ojcowskiego serca płynącemu zaproszeniu, zwróconemu do "B r a c i r o z p r o s z o n y c h".

towiywane są ponadto badania socjologiczne dotyczące życia w środowisku uniwersyteckim, szkoły średniej, handlowym, przemysłowym i rolniczym potomków wychodźców polskich.

Komisja Koordynacyjna zorganizowała grupę badawczą, która ma przeprowadzić badania w zakresie historii brazylijskiej w celu opublikowania materiałów obrazujących działalność naszych przodków dla dobra Brazylii i Polski. (jd)

Przed Wielkanocą br. odwiedził Papież Jan XXIII kościół św. Bazylego na przedmieściach Rzymu. W przemówieniu swoim, nacechowanym jak zawsze wielką ojcowską miłością, powiedział o sobie: "Mówią, że poszedłem zanadto na lewo, ale ja muszę być o j c e m dla wszystkich".

Ja muszę być ojcem dla wszystkich, — jakie to cudowne a wielkie a rzeczywiste: Przecie Papież, to głowa Kościoła Katolickiego. Ale ten nasz, rzymsko-katolicki Kościół, to Kościół Chrystusowy: A Chrystus przecież umarł za wszystkich ludzi... Zadaniem Kościoła, to nie tylko głosić prawa Boga, tych praw bronić, nawet walczyć o nie, ale także bronić i walczyć o prawa każdego człowieka i wszystkich ludzi razem.

Dlatego Jan XXIII wyszedł ludziom na przeciw, wyszedł wprawdzie drogami innymi, niż to dotąd w Kościele praktykowano, wyszedł naprzeciw współczesnemu światu i głosił prawdy, jakby nowe, jakby dotąd niesłyszane. Ale to nie są w sobie prawdy nowe, nie prawdy rewolucyjne, jakby chcieli niektórzy! To prawdy i rewolucyjność samejże Ewangelii Chrystusowej, która głosi u św. Marka (16,15): "Idźcie na cały świat i nauczajcie..." Dlatego też Jan XXIII w swej Encyklice ostatniej "Pacem in terris" nie zwraca się już tylko do katolików, jak to bywało w zwyczaju dotąd, ale zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli.

Umarł Jan XXIII, ten "mały wieśniak spod Sotto il Monte" i wrócił do ziemi, z której był wzięty. Wrócił do ziemi, jak to ziarno pszeniczne, które tylko wtedy wyda plony stokrotne, gdy będzie wrzucone do ziemi. Wierzymy, że takim nasieniem stanie się dla przyszłych czasów przedwcześnie zmarły Papież Jan, 262 Namiestnik Chrystusa na ziemi.

—oOo—

Osservatore Romano przyniósł po śmierci Papieża Jana XXIII szereg Jego zapisków prywatnych, przeczudnych w swej nauce, a przy tym pełnych prostoty i szczerości, które wypłynąć mogły jedynie z serca przepełnionego tą samą miłością, w jaką obfitowała tak bardzo Jego cała działalność papieska! Oto niektóre:

"Wyszedłem z maluckości i biedy Sotto il Monte. Starałem się nigdy nie zapominać o tym. Jakże wielkiej użył mi łaski Bóg, dając mi świętych i przykłych kapłanów, w domu mocną tradycję katolicką i szczerze i spokojne ubóstwo".

"Pożegnanie z moimi, z moją matką!... myśl, że w międzyczasie mogłaby umrzeć bez pożegnania się ze mną! Już sama ta myśl mnie rozrzuca".

"Sotto il Monte towarzyszą mi nocami moi bracia. Ich towarzystwo jest mi miłsze nad towarzystwo książąt".

"To łożo jest ołtarzem. Ołtarz potrzebuje ofiary. Otom gotów! Przygotowany! Widzę jasno przed sobą swoje kapłaństwo, widzę Sobór, Kościół Powszechny!"

"Pragnę umierać wolny od jakiegokolwiek rzezy, któraby należała do mnie. Zawsze odczuwałem ciężar ubóstwa, zwłaszcza wtedy, gdy nie mogłem pomóc swoim krewnym, którzy byli bardzo ubodzy, gdy nie mogłem wesprzeć jakiego konfratra... Lecz nigdy nie żaliłem się na ubóstwo".

"Jestem spokojny. Zawsze pragnąłem spełniać wolę Bożą. Zawsze... zawsze! Modliłem się za Kościół, za dzieci, za prałatów i biskupów, by wszyscy byli świętymi. Modliłem się za cały świat!"

W czasie uroczystej sesji parlamentarnej w stolicy naszej ku uczczeniu zmarłego Papieża jeden z dygnitarzy mówił: "Wspomnę audyencję delegacji brazylijskiej u Jego Świątobliwości Jana XXIII w r. 1962. Ojciec św. z właściwą sobie prostotą rzekł do nas między innymi: "Gdy odmawiam różaniec, to przy 3-ciej tajemnicy radosnej, która nam przypomina narodzenie Pana Jezusa w grocie betlejemejskiej, modłę się za wszystkie dzieci, które w tym dniu przyszły na świat w krajach komunistycznych, potem za te, których rodzice są bezbożnikami, a potem w intencji tych, co miały szczęście w tym dniu dostąpić łaski Chrztu św... Dalej modłę się za chorych, więźniów, biednych, bezdomnych... Przebiegam okres mego życia i modłę się za moje Bergamo, za moich drogich braci Bułgarów, Turków, Greków... Przypominam sobie swe 8 lat spędzonych między Francuzami, którzy mnie tak kochali, a ja ich. Potem widzę moją Wenecję, która zawsze była w mych ustach i sercu. A w końcu jestem tu: u św. Piotra, u św. Jana w Lateranie... W pierwszych dniach tej służby papieskiej nie zdawałem sobie należycie sprawy z tego, co to wszystko znaczy: być Biskupem Rzymu i tym samym Pasterzem Kościoła Powszechnego! Przeszły dni i miesiące i wszystko stało się jasnym. Czulem się jak w domu swoim, jak gdybym całe życie nie był czynił co innego".

Nie przytaczam dalszych Jego notatek czy wypowiedzi, by Wam, Drodzy Rodacy, móc przypomnieć wielką życzliwość, więcej: nadzwyczajne umiłowanie, jakie Ojciec św. Jan XXIII żywił do naszego Narodu, do naszej Ojczyzny. Sam dał upust tym uczuciom, kiedy przyjął na audyencji biskupów polskich nazajutrz po przybyciu na II Sobór Watykański. Długość trwania tej audyencji, jako też niesłychanie silne akcenty sympatii uważano w kołach watykańskich za zdarzenie bez precedensu. Ojciec św. oświadczył,

— że już z domu rodzicielskiego wyniósł część dla Polski, której losy, często nieszczęśliwe, idealnie wolnościowe były dlań bodźcem do pracy, do poświęceń dla drugich;

— że nie obce mu nazwisko płk. Nullo, co życie złożył w walce o wolność Polski;

— że nie obca mu literatura polska, zwłaszcza dzieła Sienkiewicza;

— że osobiście zwiedził Kraków, Wawel, Groby Królewskie, Kościół Mariacki, Wieliczkę, Częstochowę i Warszawę;

— że cieszy się z nami, z powrotu Polski na odwieczne polskie ziemie zachodnie;

— że bardzo się cieszy z przybycia polskich biskupów na Sobór Powszechny...

Jakiż to nadzwyczajny dowód tej nadzwyczajnej dobroci Jana XXIII dla Polski w tym, że w dniu 26 maja już bardzo chory, przesłał przez radio swe błogosławieństwo ze szczególniejszym orędziem dla dziesiątków tysięcy pielgrzymów, zgromadzonych u stóp cudownego obrazu Matki Boskiej w Piekarach Śląskich, w którym mówił: "... Dopóki nam sił starczy, nie poniechamy wysiłków i troski w naszej sprawie. Mieście zaufanie do miłości Kościoła i oddajcie mu się z ufnością. Możecie być pewni, że myśli Kościoła są myślami pokoju a nie utrapienia... Podziwiając oczyma duszy te wielkie rzesze ludzi silnych i zacnych, bogatych wiarą, która życie duchowe zachowuje nieskalane, jak cenne dziedzictwo, czujemy się wzruszeni i gotowi wziąć was w ramiona z miłością bez-

graniczną..." Orędzie papieskie po łacinie przesłane miało dołączony tekst w języku rolskim. Czyż i to orędzie nie wybiega daleko poza granice zwykłego tylko błogosławieństwa?

Oto Papież wielkiej miłości!

Ale miłość prawdziwa rodzi wzajemność. I właśnie to sprawiło w swoim czasie, że zaszczyt włożenia biretu kardynalskiego na głowę Nuncjusza, arcybiskupa Roncalli zamianowanego kardynałem-patriarchą Wenecji zarezerwował sobie stary socjalista Wincenty Aurioł, naówczas prezydent Francji.

Ta miłość sprawiła, że gondolierzy wenecy, urządzając wielką akademię swemu Patriarsze po wyniesieniu do godności Namiestnika Chrystusowego, na wspomnienie, że swego Patriarchy w Wenecji już więcej nie zobaczą, rozplakali się wszyscy, jak dzieci...

Miłość do człowieka sprawiła, że pałac Patriarchy weneckiego stał otworem dzień i noc, bo "nużby ktoś późną godziną zapragnął się jeszcze wypowiadać?"

Ta miłość kazała Janowi XXIII iść między lud rzymski, brać udział w jego procesjach, odwiedzać chorych i więźniów, przyjmować na audyencjach wszystkich, nie wyłączając nawet i takich, co staczali otwartą walkę przeciw Bogu i Kościołowi...

Opowiadają, iż pewnego razu ktoś z najbliższego otoczenia miał Ojcu św. postawić pytanie, co by należało zrobić, gdyby np. Chrzcuzczew zechciał poprosić o audyencję. Jan XXIII w dobroduszości swojej miał odpowiedzieć, że "wtedy napewno nie wyjechałby do Castelgandolfo, ale oczekiwałby go u siebie w Watykanie!"

Witając delegację żydawską w Watykanie, Jan XXIII z wielką łaskawością i otwartymi ramionami wyszedł ku niej ze słowami: "Ja jestem Józef, wasz brat..." (słowa patriarchy Józefa ze St. T.)

Przez cały swój pontyfikat zmarły Papież występował usilnie z apelem o zgodę i pokój, o pojednanie między narodami drogą wzajemnych rozmów, celem znalezienia sprawiedliwego rozstrzygnięcia sporów, bo ludy nie wojny pragną, ale pokoju, wolności, poszanowania godności człowieczej, poszanowania wolności sumienia. W tej myśli przemawiał do Kolegium Kardynałów nazajutrz po

swoim wytorze na Papieża, w tej myśli odzywał się w swoich Encyklikach, przede wszystkim w ostatniej skierowanej do wszystkich ludzi "dobrej woli". Jego ostatnią modlitwą, po której już przytomości nie odzyskał, były słowa: "Ojcie, zachowaj tych, których mi dałeś, aby byli jedno, ut unum sint... unum..."

Z myślą o pokoju i jedności zakończył swe życie jeden z największych papieży ostatnich czasów.

Gdy na potrójne, rytualne zapytanie zmarłego imieniem chrzestnym przez Kard. Kammerlenga: Angelo... Angelo... Angelo... Papież zmarły nie odpowiedział, Kardynał dodał słowa: Naprawdę umarł!... Nastąpiło urzędowe stwierdzenie śmierci przez lekarzy, poczem telefony, telegramy, radio roznieśli po całym świecie to najsmutniejsze powiadomienie, że Papież Miłości i Pokoju Jan XXIII zamknął swe dobre oczy na wieki.

"Błogosławiony niech będzie ten Papież, rzekł wtedy kard. Montini, który był dla nas i dla całego świata obrazem dobroci duszpasterskiej i przykładem żywym Dobrego Pasterza Ewangelicznego".

Ks. J. Kasprzyk

WYSTAWA KSIĄŻKI POLSKIEJ

W dniach od 11 do 20 czerwca rb. czynna była w Klubie 44 w ramach Tysiąclecia Państwa Polskiego wystawa książek polskich, w której brały udział wydawnictwa krajowe, Instytut Literacki w Paryżu oraz Orbis i Veritas z Londynu.

Stand wystawowy urządzony z dużym smakiem i funkcjonalnie, ozdobiony ceramiką artystyczną Wandy Dutczyńskiej, zachęcał do przeglądania eksponatów.

Wystawa nie miała pretensji do pokazania wszystkiego co zostało wydane, ani też nie mogła objąć wszystkich dziedzin. Była jednak bardzo szczęśliwą pozycją w działalności Klubu. Szczególnie półki z książkami dla dzieci stanowiły wielką atrakcję. Życzyć by należało, aby te książeczki dostały się do rąk dzieci, które jak dotąd tylko wyjątkowo mają kontakt z książką polską.

(BE)

Milton Sobociński ma pewną rękę

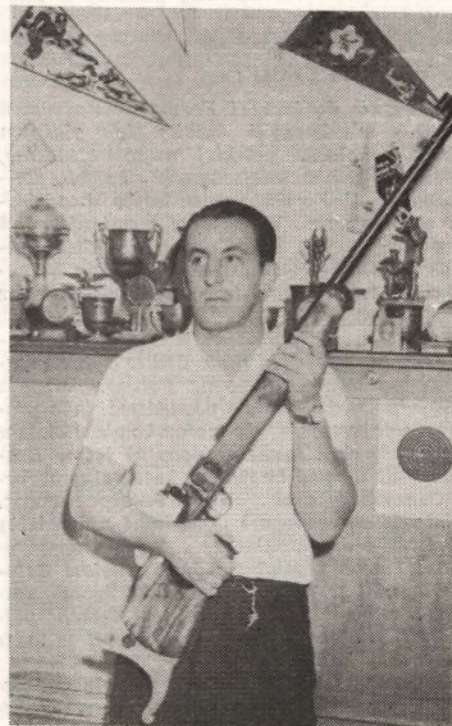
Syn mistrza nad mistrze Jana Sobocińskiego Milton Sobociński jest sam mistrzem nad mistrze. Nikt mu nie dorówna w strzelaniu sportowym, chyba, że jego bracia Alan lub Nei.

Milton ma lat 29, urodził się w Paranie i jest kawalerem. Zaczął strzelać mając lat 10 i w wieku lat 12 brał już udział w mistrzostwach São Paulo, bynajmniej nie w kategorii juniorów. Od tego czasu zwyciężał wielokrotnie. Był mistrzem Brazylii indywidualnym i w strzelaniu zespołowym trzydzieści osiem razy, ma dwa rekordy brazylijskie, trzy rekordy światowe i jeden rekord olimpijski. Zdobył dotychczas 350 medali i 40 innych nagród.

Przy tym wszystkim Milton nie jest sportowcem jednostronnym. Uprawia lekką atletykę, koszykówkę i piłkę nożną. Był członkiem drużyny siatkówki, która zdobyła mistrzostwo stanu S. Paulo w czasie Zawodów Robotniczych. Dla wypoczynku rzuca kamieniami. W wolnych chwilach zajmuje się rybołówstwem.

Dajemy tu zdjęcie Milтона z nieodłączną strzelbą, z której pali bez pudła.

(tw)



PRZEGLĄD PRASY POLONIJNEJ

Jak podaje "Nowy Świat" nieprzemysłowa, a szkodliwa akcja skrajnych czynników t. zw. nieprzeznaczonych objawiająca się w bojkocie polskich szynków znalazła należycie nasświetlenie w wyjaśnieniu Prezydenta Stanów Zjednoczonych na konferencji prasowej w Białym Domu.

Prez. Kennedy oświadczył, że osoby uprawiające bojkot polskich szynków nie dokonują tym samym żadnej obrony państwa przed komunizmem i zrobiłyby lepiej, gdyby zajął się do Korpusu Półkole lub przyłączyły do pracy w zakresie "Przymierza dla Postępu".

Wyowiedź prezidenta jest potwierdzeniem wyjaśnień udzielonych przez Departament Stanu, że rząd Stanów Zjednoczonych uważa akcję bojkotową towarów polskich za sprzeczną z polityką U.S.A. i szkodliwą z punktu widzenia gospodarczego i interesów politycznych Stanów Zjednoczonych.

Wyjaśnienia Departamentu Stanu stwierdzają poza tym, że skoro chłop polski jest właścicielem swego gospodarstwa rolnego to korzysta z premii za hodowlę nieożaczyny w transakcjach, w których mięso wyprodukowane przez niego jest wysyłane w przetworach za granicę. W tym wypadku leży w interesie rolnika polskiego utrzymanie jego własności rolnej, jak i sprzedaż przetworów z hodowanego przez niego żywca w krajach zachodu. Dalej Departament Stanu wyjaś-

nia, że w interesie Stanów Zjednoczonych jest wzmocnienie owej "wyspy inicjatywy prywatnej i przedsiębiorstwa prywatnego" jaką jest polskie gospodarstwo chłopskie w morzu zsołwizowanej Europy Wschodniej. Akcja bojkotu zmierzająca do zmniejszenia obecnej wymiany towarowej z Polską nie służy interesom Stanów Zjednoczonych.

Polonia amerykańska, która niejednokrotnie przez swój Kongres wypowiadała się za obecną polityką pomocy gospodarczej Stanów Zjednoczonych dla Polski, nie może nie przeciwstawiać się szkodliwej akcji samozwańczych patriotów nawołujących do bojkotu polskich towarów eksportowych przez kraj, bojkotu pomocy przesyłanej rodakom przez PKO, odmawiania kontaktu z rodakami, którzy przyjeżdżają z kraju tylko dlatego, że zamieszkiwali w Polsce.

* * *

Jak podają "Wiadomości" w swym numerze z maja, doroczny obiad jury tego wydawnictwa, odbył się zgodnie z tradycyjnym zwyczajem w salonie "Ogniska Polskiego" w Londynie. Wśród członków jury, zebranych w liczbie 10-ciu, obecny

był po raz pierwszy Józef Wittlin przybyły w tym celu z Nowego Jorku.

Do nagrody literackiej za najlepszą książkę 1962 r. zgłoszono szereg kandydatur, i następujące książki: "Dziennik" Gombrowicza, "Wspólna Droga" Morawskiego, "W cieniu koronkowej parasolki" Surynowej - Wyczółkowskiej oraz tom Sił Zbrojnych "O marynarce wojennej i obronie wybrzeża". W ostatecznym decydującym głosowaniu pięcioma głosami na 3 głosujących zwyciężył "Dziennik" Gombrowicza, mimo ostrej opozycji mniejszości pod wodzą Zygmunta Nowakowskiego, który domagał się ogłoszenia swego votum separatum. A więc pełna satysfakcja ze strony "Wiadomości" dla Gombrowicza, który tak niedawno we fragmentach z dziennika pisał: "Jakże mogłem mieć pretensje do czerwonego reżymu, że tam jestem na indeksie, gdy tu, na emigracji, londyńskie "Wiadomości" z przyczyn lokalnych, podwórkowych, małoszkolnych, koteryjnych, personalnych, przemilczają mnie tak solidnie, że i za stalinowskich czasów nie robiono tego lepiej. Gnębić pisarza gnębionego przez totalitaryzm, dokładając jeden rzemyk więcej do kagańca, który mnie oświ i wszystko dlatego, że nie piszę panu laurów? Wstyd, redaktorze Grydzewski".

S. BILIŃSKI



W STARYM KRAJU — W STARYM KRAJU —

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ

Jak się dowiadujemy p. Jandira Mirosława Gazda Werpachowska, która niedawno po ukończeniu Instituto de Educação do Paraná otrzymała dyplom nauczycielski z zakresu księgowości, stanie wkrótce na ślubnym kobiercu.

Wybraniem uroczej panny Mirosławy, liczącej zaledwie 18 wiosen, jest p. Eloy Doliński.

Ślub dobranej młodej pary odbędzie się dn. 13 lipca br. w kościele polskim pod wezwaniem św. Stanisława.

(sh)



PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Tegoroczny czerwiec był w Polsce miesiącem wyjątkowo spokojnym. Wpłynął na to niewątpliwie pewien zastój w polityce międzynarodowej, brak ostrych konfliktów i oznaki wzrastającego porozumienia pomiędzy głównymi partnerami w zimnej wojnie — Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. Z uczuciem ulgi przyjęto mające nastąpić w Moskwie spotkanie pomiędzy prez. Kennedy, Chruszczowem i Mac-Millanem.

W szkołach rozpoczęły się wakacje, ciepło, pogoda dopisuje, ludzie wybierają się na urlopy. Znacznie to poprawia humory.

W wielu rejonach Polski rozpoczął się sprzęt koniczyny i lucerny, na łąki wjechały kosiarki. Nastąpił dość gorący okres sianokosów. Plony traw zapowiadają się na ogół niezłe. Ciepła połowa kwietnia, a zwłaszcza maj, połączony z ożywczymi deszczami, sprawił, że wcześniej, niż normalnie można było przystąpić do zbioru traw.

W Warszawie o blisko 10 dni wcześniej, niż w zeszłym roku pojawiły się pierwsze truskawki. Urodzaj na te owoce zapowiada się duży. Oczekuje się, że kilogram truskawek będzie kosztował średnio około 8 zł.

Rozpoczynająca się kanikula nie sprzyja rewelacyjnym wiadomościom.

Dlatego niech nam wolno będzie na zakończenie podać sensację mniejszego kalibru. Oto na wystawie psów rasowych w Łodzi jakiś amator z Bydgoszczy zaprezentował "Nagiego Meksykańczyka", jedyne psa tej rasy w Polsce i bodaj w Europie. Hodowcy angielscy proponowali właścicielowi 10 tys. dolarów za tę oryginalną suczkę koloru marengo, bez owłosienia, o okrągłym tułowiu i małej głowie. Ale facet oparł się tej ponętnej propozycji. Są jeszcze prawdziwi przyjaciele zwierząt na świecie.

(as)

"Kiedy rano jadę 18-ką" w Warszawie

Była kiedyś przed paroma laty w Warszawie niesłychanie popularna piosenka, nadawana przez radio, śpiewana na każdej rozrywkowej imprezie, nucona przez tysiące warszawiaków. Pierwsza zwrotka tego stołecznego przeboju brzmiała:

"Kiedy rano jadę osiemnastką
choć ciasno, choć tłok
patrzę na kochane moje miasto,
które mnie zadziwia co krok"...

Przeboj jak to zwykle bywa z przebojem, stał się już niemodny. Pozostał jedynie nadal na tej samej linii tramwaj osiemnastka i iście przysłowiony warszawski tłok. Bo stołeczna komunikacja to prawdziwa pięta Achillea warszaw-

skich bolączek, spędzająca sen z oczu Ojcom nadwiślańskiego grodu. I to od lat siedemnastu, bo od momentu kiedy ruszył przez ulice zniszczonego miasta pierwszy autobus, wiozący ludzi przez pontonowy most "z Pragi na Warszawę". Był to rok 1945. Po Warszawie kursowały wówczas jedynie autobusy. I to jakie! Zwykle samochody ciężarowe pokryte brezentem, do których wsiadało się po drabinach. Zanim człowiek dojechał do celu, wytrzymał się niemiłosiernie, podrzućany na wszystkich przysłówowych kocich łbach. Dzisiaj należy to już do dalekiej przeszłości. Stopniowo ciężarówkę zastąpiło autobusami, których z każ-

Dok. na str. 30

PRZEGLĄD POLSKI INFORMUJE:

Place. Jak donosi tygodnik "Życie Gospodarcze" przeciętna płaca nominalna netto (po potrąceniu podatku od wynagrodzeń) w gospodarce społecznej (bez uczniów) wzrosła w 1961 r. w porównaniu z 1960 r. o 4,4 proc. Wobec wzrostu kosztów utrzymania w 1961 r. o 1,7 proc. (obliczenie dokonane w oparciu o dane z badań budżetów rodzinnych) płaca realna wzrosła o 2,7 proc., tzn. nieco mniej niż zakładano w planie.

Wskaźnik kosztów utrzymania był w 1961 r. wyższy niż wskaźnik cen detalicznych towarów i usług nabywanych przez ludność, co tłumaczy się głównie wyższym udziałem wydatków na warzywa i owoce (których ceny wzrosły w 1961 r. o około 14 proc. w porównaniu z 1960 r.) w rodzinach objętych badaniami budżetów rodzinnych niż w wydatkach całej ludności.

Przeciętna płaca miesięczna brutto w gospodarce społecznej wynosiła w r. 1931 zł. 1736, a w r. 1932 zł. 1805, wzrosła więc o zł. 69.

Spadek za granicą. Podatek spadkowy od spadku zapisanego na rzecz rodziny w Polsce przez osoby zamieszkałe za granicą kraju opłacany jest jedynie w kraju zamieszka-

nia spadkodawcy. W Polsce rodzina nie płaci podatku spadkowego.

Cło za kawę. Istnieją dwa typy opłat celnych za przesyłki z kawą. Inaczej kształtują się opłaty za kawę paloną, inaczej za ekstrakt kawowy. W przypadku kawy palonej, o ile waga przesyłki nie przekracza 2 kg, opłata wynosi 100 zł od 1 kg. Za nadwyżki ponad 2 kg opłata wzrasta do 200 zł od 1 kg. Za ekstrakt kawowy — jeżeli przesyłka zawiera nie więcej niż 0,6 kg — cło wynosi 200 zł od 1 kg. Nadwyżka ponad 0,6 kg, podlega opłacie 600 zł od 1 kg. Wysokość opłat celnych za kawę i ekstrakt kawowy ustala się od wagi towaru łącznie z wagą bezpośredniego opakowania.

Rewelacyjny stop. Rewelacyjny stop aluminium, cynku, magnezu, i żelaza jest dziełem zespołu, kierowanego przez prof. Krupkowskiego z Akademii Górniczo-Hutniczej i prof. Poniewierskiego z Politechniki Warszawskiej. Ten konglomerat metali wyróżnia się szeregiem cennych właściwości: jest lekki a jednocześnie wytrzymały jak stal, posiada wielką odporność na korozję i w związku z tym nie trzeba stosować doń pokryć ochronnych. Po wypolerowaniu osiąga "wysoki połysk". W wielu fabrykach podejmuje

DR STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Załatwia wszystkie sprawy cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp. —

BIURO: Rua Senador Feijó, 29 4 p. s. 417 (obok Katedry) tel.: 35-6521.

PRZYJMUJE OD 13 DO 19 GODZINY.

się produkcję różnorodnych wyrobów z tego stopu. I tak np. krakowskie zakłady armatury wykonały z nowego stopu próbną partię tzw. baterii wannowych (krany, urządzenia natryskowe), eliminując w ten sposób zużycie mosiądzu i uzyskując znaczne zmniejszenie ciężaru: "baterie" z mosiądzu mają ciężar 830 gramów, a z nowego materiału — 270 gramów. Trwają też próby nad produkowaniem z nowego stopu różnych akcesoriów stosowanych w pralkach, lodówkach a także — wagonach kolejowych (popielniczki, wieszaki itp.).

Udana operacja przyszycia nogi. Niecodzienną w polskim lecznictwie operację przyszycia rannemu nogi przeprowadzili pod koniec ub. roku dąbrowscy chirurdzy. Jerzy Gnoiński z Golonoga uległ 20 grudnia ub. roku w czasie rozwożenia furgonetką piecywa b. poważnemu wypadkowi, a mianowicie zmiążdżenia lewego uda. W 20 minut później ranny znalazł się na oddziale chirurgii urazowej dąbrowskiego szpitala. Przypadek był b. poważny. Noga trzymała się tylko na szczątkach skóry i mięśni. Dąbrowski szpital posiada od niedawna aparat do szwu naczyniowego Gudowa, ufundowany przez kop. "Gen. Zawadzki". Podjęto więc próbę ratowania kończyny. Dr Ryszard Nowak, dyr. szpitala i ordynator oddz. urazowego rozpoczęli przy pomocy owego aparatu niezmierzenie skomplikowany zabieg zeszywania naczyń krwionośnych, a potem złożono kości i przyszyto mięśnie. Operacja trwała 3 godziny. Po operacji noga, pozbawiona krążenia krwi więcej niż 4 godziny, a więc zupełnie zimna, zaczęła się stopniowo ocieplać. Wieczorem i w następnych dniach lekarze coraz bardziej upewniali się, że przyszyta kończyna żyje. Pacjent czuł się dobrze, poruszał palcami operowanej nogi, noga reagowała na dotyk. Wszystko wskazywało na to, że dzięki wspomnianemu aparatowi, który doskonale zdał swój pierwszy egzamin, a przede wszystkim dzięki inicjatywie dąbrowskich chirurgów, pacjent będzie chodzić na... własnych kończynach.

"Sztuczne oko" dla niewidomych. "Sztuczne oko" skonstruowali dwaj polscy naukowcy: znany szczeciński okulista — prof. Witold Starkiewicz i prof. Tadeusz Kulizewski — kierownik Katedry Urządzeń Teletransmisyjnych na Politechnice Wrocławskiej. "Sztuczne oko" nie jest, jak by wynikało z nazwy — protezą, ale elektronicznym aparatem, który umożliwia niewidomym orientację przestrzenną. "Sztuczne oko" — fachowo nazywane elektroftalmem, składa się z trzech części: układu optycznego, wzmacniającego i specjalnej płytki z tzw. dotykadłami.

Zgon prof. dr K. Ajdukiewicza. W Warszawie zmarł profesor dr Kazimierz Ajdukiewicz, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, jeden z najwybitniejszych logików i filozofów. Urodzony w 1890 r. w Tarnopolu, studia uniwersyteckie odbył we Lwowie i Getyndze. W latach 1926 - 1928 był profesorem na Uniwersytecie Warszawskim, następnie do roku 1939 kierował katedrą logiki na Uniwersytecie Lwowskim. Po przerwie wojennej objął w 1945 r. i kierował przez 10 lat katedrą na Uniwersytecie Poznańskim, wreszcie w 1954 r. wraca do Warszawy na katedrę logiki, którą prowadził do 1961 r. W tym ostatnim okresie Kazimierz Ajdukiewicz kierował też Zakładem Logiki Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

KIEDY RANO JADĘ 18-KĄ

(Dok. ze str. 29)

dym rakiem przybywało. Przywrócono jakże zasłużone w latach okupacji, stare, poczciwe, nigdy niezawodne tramwaje. Dedano zupełnie przed wojną nieznane stolicy trolejbusy.

Dziś Warszawa, która już od 1956 r. jest dużą ponad milionową metropolią o powierzchni ponad 450 km, posiada 37 linii tramwajowych dziennych o łącznej długości 118 km, 6 linii trolejbusowych i 60 linii autobusowych. Łączą one najdalsze peryferie miasta, gdzie obecnie skupiła się większość osiedli mieszkaniowych, ze śródmieściem, w którym znalazły się ważniejsze urzędy, biura oraz sklepy. Nie więc dziwnego, że dwa razy dziennie wszystkie warszawskie środki lokomocji przypominają bardziej rozpedzone w biegu, ponad miarę objuczone wielbłądy, aniżeli stateczne, pełne powagi tramwaje czy autobusy. Największy tłok nie przeszkadza pasażerom w dowcipkowaniu, tworzeniu na oczekaniu kawałów i anegdot, opartych na autentycznych zdarzeniach. Chyba poza Włochami, Polacy są jedynym narodem, który potrafi kląć się na wesoło i z humorem. A już warszawiacy, posiadający szczególne poczucie humoru, celują w tym.

Codziennie rano z warszawskich stacji wyjeżdża na miasto około 350 tramwajów, 56 trolejbusów i blisko 600 autobusów. Jednakże warszawiacy najbardziej lubią tramwaje. Bo to i pakowne i rzadko psujące się, a chociaż jeżdżą stosunkowo wolno, zawsze do celu dowiozą. Autobusy i trolejbusy są kapryśne. To się spóźniły i muszą skracać linię, to coś się zepsuło i ludzie muszą wyczekać na inne środki lokomocji. Ani trolejbusy ani autobusy nie zabiorą tyle co poczciwy tramwaj, który dla wielu zbudowany jest z istic przysłowiowej jakby niesłychanie rozciągliwej gumy. Zawsze rano i po południu, kiedy ludzie wracają z pracy, "grona" wiszących u wejścia do tramwaju czy autobusu są widokiem normalnym, nikogo nie gorszącym, nawet miłym. Pasażerowie warszawscy to swoistego rodzaju społeczność, kierująca

się swoimi dżentelmeńskimi prawami. Wiadomo, że pierwszeństwo do wsiadania mają matki z dzieckiem i starszankowie. A jeśli znajdzie się pasażer, który tego nie przestrzega spotka się zawsze z potępieniem u współpasażerów i może być nawet ukarany pozbawieniem miejsca wsiadającego na stopniu. A jest to chyba najsurowsza kara dla zawsze spieszącego się warszawiaka.

Jak każde miasto również i Warszawa posiada najbardziej popularne linie, na których zawsze panuje tłok. Do takich należą: 17-ska — łącząca Żoliborz przez Śródmieście z Grochowem, 13-ska — Pragę z Kolem, 25-tka — Pragę z Ochotą, 31-a — Żoliborz z Mokotowem i 30-tka — objeżdżająca dokoła Śródmieścia. A z linii autobusowych 100-tka — jeżdżąca tak samo jak 30-tka, 117-tka — łącząca Saską Kępę z Okęciem, 102-ka — Śródmieście z Grochowem. Ostatnio wprowadzono w Warszawie autobusy pospieszne — strefowe. Jest ich na razie zaledwie kilka linii, ale w miarę usprawniania komunikacji będzie ich przybywać. A trzeba przyznać, że komunikacja coraz bardziej się usprawnia. Niemal co miesiąc przebywa Warszawie jakaś nowa linia czy to tramwajowa czy autobusowa, a w związku z tym i nowe, nowoczesne wozy tramwajowe i autobusowe. Rzepoczęły się prace związane z budową miejskiej kolei szybkiej. Jak obiecują stołeczni architekci i autorzy projektu, puszczenie kolei przez miasto radykalnie zmieni komunikację.

Penięktorzy warszawiacy szepczą, że wówczas tramwaje zjadą ze śródmieścia na peryferie albo całkowicie na emeryturę. I w związku z tym nawet potrosze się i martwią. Poczciwie bowiem wozy po wojnie do końca 1953 roku przewiozły 710-657-000 pasażerów i są jedną z najbardziej charakterystycznych cech miasta.

I kto wie, czy rzeczywiście za kilka lat o warszawskich tramwajach nie będziemy tylko czytali i wspominali w piosenkach.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo,

Nawiązując do awelu umieszczonego w numerze kwietniowym w sprawie pomocy dla samotnej staruszki, pozwalam sobie, chociaż w nieco spóźnionym terminie, zgłosić kilka uwag. Polaków i Polek w różnym wieku i z różną datą przyjazdu do Brazylii, potrzebujących pomocy, opieki i rady jest niewątpliwie wielu. Zdarzyło się, że sprawa owej staruszki dotarła do wiadomości Redakcji, która spróbowała poruszyć sumienie i kieszeń naszej emigracji. Jednakże ogromna większość wypadków pozostaje nieznana.

Czy nie byłoby wskazane, aby przy jednej z istniejących już polsko-emigracyjnych placówek, jak np. Klub 44, który stanowi pewien ośrodek polskiej emigracyjnej inteligencji na tym terenie i emigracyjnej polskiej finansjery w São Paulo, zorganizować Sekcję Socjalną? Wielokrotnie słyszy się narzekania, że Klub nie daje swym członkom nic poza możliwością zagrania w karty, jakiegoś sporadycznego spotkania w wieczór czwartkowy lub z rzadka dla młodszych improwizowanych tańców. Sekcja Socjalna, o ile w ogóle mieści się, w ramach statutu, mogłaby stworzyć załączek akcji pomocy dla nowoprzybywających i dawnych polskich emigrantów. Nie mam tu na myśli akcji staro-filantropijnej, lecz działanie socjalne, doradcze, interwencyjne drogą kontaktów i wspólnoty z istniejącymi na terenie São Paulo placówkami opiekuńczymi, właściwą informację, ułatwienie znalezienia pracy itp.

Wracając do samotnej staruszki, — taka Sekcja Socjalna mogłaby np. poczynić starania aby, za zgodą zainteresowanej, umieścić ją w jednym z domów starców, prowadzonych przez stan lub jedną z organizacji społecznych.

Proszę wybaczyć ten przydługi list i zechcieć mnie umieścić na liście chętnych do pracy w przyszłej Sekcji Socjalnej, gdyby taka powstała.

Z poważaniem

MGR. E. P.

(Nazwisko i adres znane Redakcji)

OESTREICH S/A (Importação)

Rua Camerino, 96

Tel. 23-0123

RIO DE JANEIRO

importa da

POLONIA

COMESTIVEIS FINOS, CONSERVAS

DE FRUTAS E GELEÍAS

e especialmente

WÓDKA WYBOROWA

WIŚNIÓWKA

Cherry Cordial

WINIAK LUKSUSOWY

WINIAK SPECJALNY

da

ROLIMPEX

Varsovia

O REVESTIMENTO PLÁSTICO MAIS VERSÁTIL
DO MUNDO

GENUÍNA CHAPA PLÁSTICA



Mais de cem cores e padrões diferentes.

Não mancha, não queima, não aranha, não acumula poeira.

Fabricada em acabamento brilhante, fôsko e meio fôsko.

COMPANHIA QUÍMICA INDUSTRIAL
DE LAMINADOS

Av. Rio Branco, 57 5.º — fone: 23-9515

RIO DE JANEIRO

Filial: São Paulo, Av. Paulista, 2113

(Conjunto Nacional) Tels.: 32-8312

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

TAZAB — LONDON

P.K.O. — WARSZAWA

Zastępstwo

Empresa — J. RAJIC LTDA.

Praça da Sé, 399 — 4.º

Telefon: — 33-4983 i 36-8530

SÃO PAULO — BRASIL

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Libero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

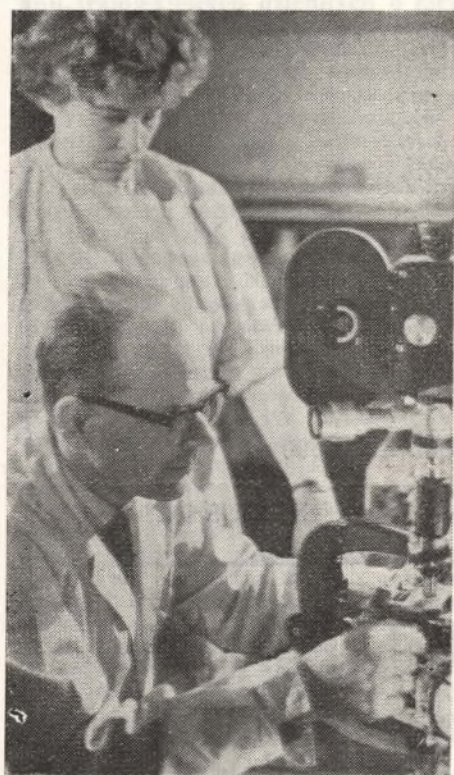
Caixa Postal, 4413 SÃO PAULO



Na polanie Chocholowskiej w Tatrach wiosna w pełni..
Kwitną krokusy.



Zespół pantomimiczny studentów szczecińskich. Scenka zatytułowana "Manekiny".



Dr Jerzemu Bajerowi i jego żonie Barbarze udało się po raz pierwszy w historii nauki utrzymać przy życiu komórki endospermu, dzięki czemu stało się możliwe sfilmowanie podziału komórki w rozmaitych warunkach i pod wpływem różnych czynników.



Nie ma nic miłszego, niż kawiarnie warszawskie.

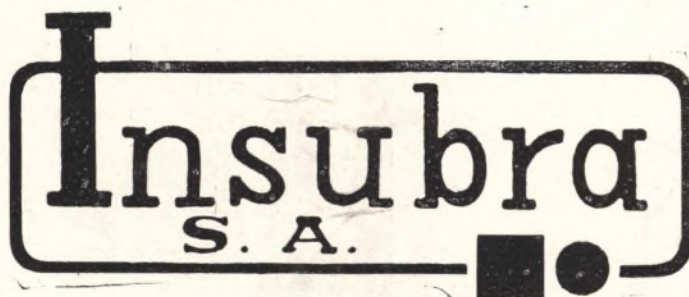
RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.

Tricot-lã

sweater
original

